● 4 AD ● THE BEATLES (6) ● ROBERT PLANT ● B-52's ●
● THE HOUSE OF LOVE ● BIG CYC ● CHŁOPCY ● T. LOVE ●

6

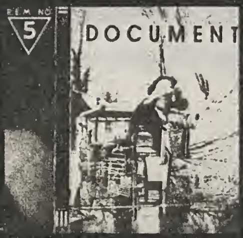
MAGAZYN MUZYCZNY

● Nr 6 (376) ● CZERWIEC 1990 ● Cena 2300 zł ●



DEPECHE MODE

100 NAJLEPSZYCH PŁYT LAT OSIEMDZIESIĄTYCH WEDŁUG Rolling Stone





41. *Document*
R.E.M.
IRS

Grupa R.E.M. już wcześniej pojawiła się w tym zestawieniu. Tak jak i komplementy pod jej adresem. Na pewno także ten longplay zasługuje na miejsce w pierwszej połowie setki najlepszych płyt minionej dekady. Upłynęła ona – choć z początku nie zanosiło się na to – pod znakiem nostalgii za rockiem lat sześćdziesiątych, a właśnie czwórka muzyków z R.E.M. bardzo przekonująco udowodniła, że można temu nadać własny, artystyczny wyraz; odkrywać nowe za pomocą starego.

„Rolling Stone": *Po czterech albumach z niepowtarzalnym, wizjonerskim rock'n'rollem (nie licząc „Dead Letter Office" – kolekcji stron „B" singli) ci oryginalni muzycy z Georgii dali sobie spokój z „alternatywą" i włączyli się do rockowego mainstreamu, mając „Document" za przepustkę. Jak powiedział wtedy Peter Buck: „Jesteśmy akceptowalnym skrajem muzyki nie do zaakceptowania..." „Document" to gniewne, zazwyczaj sprowokowane bieżącymi wydarzeniami, spojrzenie na świat zrujnowany katastrofami politycznymi i ekologicznymi.*

PRODUCENT: Scott Litt i R.E.M. DATA WYDANIA W USA: sierpień 1987. NAJWYŻSZA POZYCJA NA LIŚCIE W USA: 10.

42. *Strong Persuader*
THE ROBERT CRAY BAND
High Tone/Mercury

W latach osiemdziesiątych blues był raczej w odwrocie, ale czarnoskóry Robert Cray to artysta, który zasługuje na takie wyróżnienie. Z bluesowego punktu widzenia ta dekada była jego dekadą.

„Rolling Stone": *„Strong Persuader" zaznajomił nową generację fanów rockowego mainstreamu z językiem i formą bluesa... W swych lirycznych utworach Cray często odchodzi od narzekań, tak typowych dla większości bluesmanów. Ale jego wysoko brzmiące, ostre jak brzytwa gitarowe zagrywki biorą się prosto z tradycji elektrycznego bluesa i powodują, że „Strong Persuader" ma prawdziwego „kopa".*

PRODUCENT: Bruce Bromberg i Dennis Walker. DATA WYDANIA W USA: wrzesień 1986. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: 13.



43. *Nebraska*
BRUCE SPRINGSTEEN
Columbia

Znów pojawia się w tym zestawieniu Springsteen. Z płytą u nas jakby nie dostrzeżoną (i niedocenioną). Jednak w Stanach od razu zachwyciła ona recenzenów... I – jak widać – tak już zostało.

„Rolling Stone": *...mroczna płyta, pełne rozpaczy zwierzenia rock'n'rollowego gwiazdora, który zdecydował, że niektóre historie najlepiej brzmią opowiedziane prosto, przez mężczyznę ze swą gitarą... Był to zarówno śmiały album, jak i znaczący – zapowiadający szczere, narracyjne piosenkopisarstwo i oszczędne wykonawstwo takich folkowych stylistów późnych lat 80. jak Tracy Chapman i Susan Vega.*

PRODUCENT: Bruce Springsteen. Data wydania w USA: wrzesień 1982 r. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: 3.

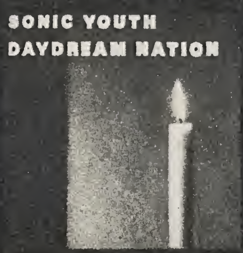


44. *Oh Mercy*
BOB DYLAN
Columbia

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Dylan był nadal ważnym artystą. Co więcej: od czasu do czasu potrafił popisać się doskonałą formą. Byłoby zaskakujące, gdyby tego nie dostrzegli autorzy listy...

„Rolling Stone": *Bob Dylan zamknął lata 80. płytą „Oh Mercy", być może najlepszym albumem dekady, która przyniosła jego twórcze wzloty („Infields") i załamania („Down In The Groove"). O ile nie byłoby fair porównywać „Oh Mercy" z najważniejszymi nagraniami Dylana z lat 60., to można powiedzieć, że longplay dobrze przystaje do jego frapującego dorobku.*

PRODUCENT: Daniel Lanois. DATA WYDANIA W USA: wrzesień 1989 r. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: 33.



45. *Daydream Nation*
SONIC YOUTH
Enigma

I ten zespół na pewno ma swe miejsce w rockowej historii lat 80. A czy *Daydream Nation* jest rzeczywiście najlepszym albumem Sonic Youth? Eksperci z „Rolling Stone" nie mają co do tego wątpliwości: *„Daydream Nation" zawiera wszystko, co uczyniło z Sonic Youth najbardziej sugestywny i pomysłowy amerykański zespół gitarowy lat 80. i ujmuje to w postaci 71-minutowego, dwupłytowego „tour de force". Gitarzyści grupy, Moore i Lee Ranaldo, zastosowali odpychający zestaw alikwot, harmonii, brzęków i feedbacków, aby stworzyć przeróżne dźwięki i faktury niepodobne do niczego innego w rocku.*

PRODUCENT: Sonic Youth i Nicolas Sausano. DATA WYDANIA W USA: październik 1989 r. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: nie weszło na listę.



46. *Peter Gabriel*
PETER GABRIEL
Mercury

Trzeci longplay solowy Gabriela od chwili ukazania się był uważany za jego arcydzieło; także przez recenzentów z USA. Zapewne nie tylko zaprzysięgli wielbiciele eks-wokalisty Genesis mogą dziwić się, że płyta pojawia się na liście „Rolling Stone" po *So*, a nie przed... W tekście amerykańskiego czasopisma nie ma wyjaśnienia tej zagadki. Jest natomiast – warta przytoczenia – wypowiedź samego artysty: *Myślę, że dla mnie jako autora, jest to album, w którym odkryłem własny styl.*

PRODUCENT: Steve Lillywhite. DATA WYDANIA W USA: lipiec 1980 r. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: 22.

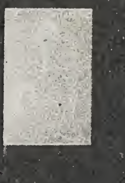


47. *Private Dancer*
TINA TURNER
Capitol

Chyba nie potrzeba tu żadnego komentarza.

„Rolling Stone": *Być może najbardziej spektakularny come back płytowy lat 80. – „Private Dancer" – przywrócił Tinie Turner pozycję jednej z czołowych artystek rocka.*

PRODUCENT: Rupert Hine, Terry Britten, Martyn Ware i Carter. DATA WYDANIA W USA: maj 1984 r. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: 3.



48. *Skylarking*
XTC
Geffen

Już wczesne płyty Brytyjczyków z XTC zostały wysoko ocenione w Stanach. Stąd też obecność *Skylarking* na liście nie powinna dziwić, choć brak przekonującego uzasadnienia w poświęconym temu longplayowi tekście... .

„Rolling Stone": *Czternaście piosenek ze „Skylarking" obfituje w dowody wielkiej wyobraźni i w muzykę, która jest pastoralna, oszczędna i z umiarem aranżowana. Ten album jest hołdem złożonym naturze, a w szczególności – lecie.*

PRODUCENT: Todd Rungren. DATA WYDANIA W USA: marzec 1987 r. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: 70.



49. *Crazy Rhythms*
THE FEELIES
Stiff

Wątpię czy ktokolwiek w naszym kraju dostrzegł ten amerykański zespół i jego płytę. W Stanach najbardziej spodobał się on krytykom rockowym; *Crazy Rhythms* było tam dostępne w ostatnich latach tylko jako... import z RFN. Przypomnienie tego albumu w zestawieniu „Rolling Stone" można złożyć na karb snobizmu, ale też jest wyjaśnienie: *jego delikatny dźwięk ciągle daje się usłyszeć w muzyce zespołów jak R.E.M.*



50. *Madonna*
MADONNA
Sire

Nie byłaby to lista „Rolling Stone", gdyby płyta Madonny nie pojawiła się dopiero w połowie setki i gdyby nie był to jej najmniej popularny longplay. Oczywiście, stoją za tym jakieś racje: *album zapewnił jej styl i brzmienie i pomógł przedzierzgnąć się z dyskotekowego wampa w fenomen popu. Wskazał też kierunek czeredzie piosenkarek od Janet Jackson do Debbie Gibson.*

PRODUCENT: Reggie Lucas, John „Jellybean" Benitez i Mark Kamins. DATA WYDANIA W USA: sierpień 1983 r. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE W USA: 8.

(WK)

CAŁY TEN ZGIEŁK

ZMIANY KADROWE

■ **The Style Council** nigdy nie cieszył się wielką popularnością nad Wisłą. Bez echa przeszła nawet jego krótka wizyta w Warszawie, gdy właśnie tutaj, w cieniu monumentalnego daru od Wielkiego Józefa, postanowił zrealizować jeden ze swych wideoclipów. W Anglii jednak ten zespół cieszył się ogromnym szacunkiem i popularnością i wielu fanów ze smutkiem musiało pogodzić się z faktem, iż po ośmiu latach działalności The Style Council przestał istnieć. Decyzja lidera, Paula Wellera, była równie zaskakująca jak rozwiązanie – właśnie przed ośmioma laty – The Jam. Z drugiej jednak strony, grupa którą założył Weller z Mickiem Talbotem praktycznie uległa zamrożeniu w 1988 roku, po wydaniu albumu *Confessions Of A Pop Group*, a w ubiegłym roku jakby podsumowała swą karierę składanką *The Singular Adventures Of The Style Council* i zestawem wideoclipów. Weller, który przygotowuje się do solowego tournée na jesieni, tak oto skomentował swoją decyzję: *Jest ona bardzo spóźniona – powinniśmy się rozstać już dwa albo trzy lata temu. Jednakże, jako zespół, w swoim czasie stworzyliśmy sporo wspaniałej muzyki i jej znaczenie jeszcze przez jakiś czas nie będzie w pełni docenione.*

■ W przypadku niektórych wykonawców można odnieść wrażenie, iż są zdalnie sterowani przez jakieś ciemne, przewrotne siły. Tak właśnie jest w przypadku **Guns N'Roses,** którzy – choć nie zaliczają się do grona rockowych stachanowców – nie schodzą od ponad roku z nagłówków dzienników i periodyków, stając się



GUNS' N'ROSES

bohaterami coraz to nowych afer i skandali, bynajmniej o niemuzycznym rodowodzie. Tym razem jednak – dla odmiany – prasa na początku kwietnia poświęciła sporo miejsca na spekulacje, czy w owej amerykańskiej grupie nastąpi zmiana perkusisty, czy też nie, jako że Steven Adler nie brał udziału w pierwszej turze sesji nagraniowych nowego albumu, a zastąpił go rzekomo Adam Marples z Sea Hags. Podobno w tym wstępnym podejściu zarejestrowano więcej niż 10 utworów, które mają stanowić podstawowy materiał płyty. Jakieś dwa tygodnie później, rzecznik prasowy GunsN'Roses zaprzeczył tym pogłoskom, twierdząc, iż są one wymysłem dziennikarzy – głównie angielskich. Tak zwane dobrze poinformowane źródła utrzymują jednak, że w zespole rzeczywiście doszło do ostrej kłótni, w której AXL Rose zakwestionował umiejętności Adlera, zalecając mu, by posiedział w domu i popracował nad sobą, po czym zaprosił do współpracy sesyjnego perkusistę – jednocześnie mając na oku Martina Chambersa (eks-The Pretenders), jako ewentualnego zastępcę. Jak się zdaje, obaj antagoniści doszli z czasem do porozumienia, a całą sprawę odłożono na półkę z etykietką „plotki". Niemniej, o GunsN'Roses było znowu głośno, a nic nie zaostrza tak apetytu fanów na płytę, jak nieustające zamieszanie wokół jej twórczości. Zanim się ona ukaże późną jesienią, z pewnością jeszcze nieraz usłyszymy o chłopcach z Los Angeles, którzy okazali się pojętnymi uczniami Andrew Oldhama (The Rolling Stones) i Malcolma McLarena (Sex Pistols) – przynajmniej jeśli chodzi o zapewnienie sobie reklamy w środkach masowego przekazu.

■ I jeszcze jedna plotka, która została zdementowana. Nieprawdą jest, że **Simple Minds** zakończyli karierę, jak pod koniec marca donosiła prasa brytyjska. W chwili obecnej zespół przebywa w Amsterdamie, gdzie nagrywa album będący kontynuacją doskonale przyjętego *Street Fighting Years*. Prawdą jest jednak, że grupę opuścił jej współzałożyciel Michael MacNeil (kbds) – a do Jima Kerra, Charliego Bur-



JIM KERR

chilla i Mela Gaynora dołączyli Paul Vitesse (kbds) i Malcolm Foster (b). Pogłoski o rozwiązaniu Simple Minds zdawały się dodatkowo potwierdzać dwa fakty: nagłe i niespodziewane wyrzucenie wieloletniego menażera, Bruce'a Findlaya (jego następcą jest brat Jima Kerra – Paul) oraz odmowa wystąpienia na festiwalu Big Day w Glasgow (3 czerwca), która – jak się okazuje – była podyktowana wcześniejszymi zobowiązaniami zespołu, a mianowicie udziałem w Mandela Day (16 kwietnia) i terminami wynajmu studia w Amsterdamie.

■ Po pięcioletniej przerwie powraca **Propaganda** z Kolonii, oferując – obecnie w barwach Virgin – singel *Heaven Give Me Words*. Nie jest to już jednak ten sam zespół, jaki znamy z płyty A Secret Wish z 1985 roku. Kwintet skurczył się do formatu kwartetu, a z członków-założycieli ostał się tylko Michael Martens, z którym współpracują wokalistka Betsy Miller oraz dwóch dawnych muzyków Simple Minds – Derek Forbes (b) i Brian McGhee (dr).

■ Nowym basistą **New Model Army,** który zajął miejsce usuniętego na początku bieżącego roku Jasona „Moose" Harrisa, jest Nelson z Colchester (hrabstwo Essex). Nelson występował wcześniej w wielu grupach związanych z niezależnymi firmami płytowymi, w tym z Three Times A Day, która zadebiutowała na winylowym krążku dokładnie w tym samym czasie, kiedy ukazał się pierwszy album NMA, *Vengeance;* brał udział w amerykańskim tournée formacji Modern English; ostatnio zaś grał w The Hiding Place – zespole, który bardzo często odbywał trasy z Fields Of The Nephilim jako tzw. support act.

■ **Stiv Bators,** niegdyś lider The Lords Of The New Church,nie zamierza rozstać się z rockową sceną, czego dowodzi założenie przezeń nowej grupy, w której skład weszli Dee Dee Ramone, gitarzysta Chris Dollimore (eks-The Godfathers) i perkusista Tom (eks-Doctor And The Medics). Tymczasowa nazwa owej kongregacji brzmi: **The New Lords Of The New Church.**

■ Po niezbyt udanym epizodzie opatrzonym kryptoniemem General Public oraz po nie zwieńczonych sukcesem próbach solowych, **Dave Wakeling** i **Ranking Roger,** dawni liderzy jednej z czołowych brytyjskich formacji grających ska – The Beat – wystąpili wspólnie na koncercie z okazji Dnia Ziemi, zorganizowanym w USA. Następnie wraz z dawnymi kolegami, Saxxem i Everettem Mortonem, którzy w 1987 roku założyli grupę Beats International, wzięli udział w pierwszym festiwalu muzyki ska w San Francisco, zorganizowanym przez studentów Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

DEPESZA Z KLUBLANDII

■ W drugiej połowie lat 70., jedna z najważniejszych nowofalowych scen londyńskich był pub **Hope & Anchor** w dzielnicy Islington. Występy w nim stały się ważnym epizodem w karierze m.in. The Damned, The Stranglers, Elvisa Costello, Dire Straits, XTC, Iana Dury'ego, Madness, The Specials i U2. Tam też odbył się w 1987 roku nadzwyczaj udany przegląd nowofalowego rocka, opatrzony kryptonimem *Hope & Anchor Front Row Festival* udokumentowany dwupłytowym albumem o takim właśnie tytule. Po niemal dziesięcioletniej przerwie, w maju, lokal ten wznowił działalność rozrywkową – jego nowe kierownictwo zdecydowało się udostępnić maleńką estradę wykonawcom rockowym w czwartkowe, sobotnie i niedzielne wieczory.

PROTEST OPODATKOWANYCH GŁÓW

■ Chyba żadna decyzja gabinetu pani Margaret Thatcher – nawet zgoda na dyslokację amerykańskich rakiet średniego zasięgu w bazach brytyjskich i bezwzględne zduszenie strajku górników – nie wzbudziła tak wielkiej i gwałtownej fali protestów, jak uchwalona w marcu ustawa o ściąganiu **podatku pogłównego** (Poll Tax). 31 marca potężny pochód wyruszył z położonej w południowo-wschodniej części Londynu dzielnicy Kennington i zakończył się wielkim wiecem na Trafalgar Square. Jednym z mówców był rapper **Rebel MC.** Naturalnie, jak to zwykle się dzieje, gdy emocje biorą górę, nie obyło się bez starć z policją, a także – bez rozbijania i rabowania sklepów.

Oczywiście, na ten niesprawiedliwy – zdaniem większości Brytyjczyków – akt prawny nie mogli pozostać obojętni nie tylko politycy opozycyjnej partii pracy, ale i wykonawcy rockowi. Wspomniany Rebel MC jest członkiem nowo powstałej organizacji Artists Against The Poll Tax (AAPT), podporządkowanej ogólnopańsłwowej All Britain Anti Poll Tax Federation, która narodziła się w Izbie Gmin pod okiem labourzystowskiego posła Dave'a Hellista i ma już na koncie sprzedany do ostatniego miejsa koncert rappowy w Brixton Academy, gdzie wystąpili m.in. Beats International, Wee Papa Girl Rappers, Overlord X i Rebel MC. Akces do AAPT zgłosili również Neneh Cherry i Jimmy Sommerville.

■ Jedną z antypodatkowych akcji jest również publikacja albumu *Alvin Lives (In Leeds),* na której dwunastu wykonawców – w tym The Wedding Present, Lush, CUD i The Perfect Disaster – przypomina wielkie przeboje z lat 70.

DO PRACY BY SIĘ SZŁO...

■ **New Order** ukończyli pracę nad oficjalnym hymnem angielskiej drużyny biorącej udział w Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej – Italia'90. Nosi on tytuł *E For England*. Irlandzkich piłkarzy w utwór o indentycznym charakterze zaopatrzył **Larry Mullen Jr z U2.**

■ **Vernon Reed** z **Living Color** dostąpił nie lada zaszczytu: został współautorem repertuaru przeznaczonego na kolejną długogrającą płytę Carlosa Santany, a także – jej współproducentem. Tymczasem jego kolega z zespołu, Corey Glover, wystąpił jako solista na składankowym albumie, wykonując własną wersję przeboju Rufusa z 1974 roku, *Tell Me Something Good.*

■ Pod koniec kwietnia **Howard Devoto** wyruszył w krótką trasę po Anglii, aby zachęcić wszystkich wiernych fanów do nabycia tomu utworów poetyckich, *It Only Looks As If It Hurts* (Black Spring Press). Znalazły się w nim wszystkie teksty jego utworów, począwszy od pierwszych piosenek Buzzcocks po najnowszy materiał napisany na drugą płytę formacji Luxuria. Ponadto znaleźć tu można słowa mniej znanych kompozycji z repertuaru Magazine i z okresu krótkiej współpracy z mistrzem elektronicznych klawiatur z Francji, Bernardem Szajnerem.

■ Po groźnym wypadku motocyklowym pozostało już tylko niemiłe wspomnienie... **Billy Idol,** który był jego ofiarą, wznawia działalność wydając nowy singel, *Cradle Of Life*, lato zaś spędzi na planie filmu-biografii Jima Morrisona i The Doors, reżyserowanego przez laureata nagrody Oscara (za *Pluton)* – Olivera Stone'a.

■ Nowym nabytkiem firmy Factory, a zarazem – nową wielką nadzieją Manchesteru po sukcesach The Stone Roses i Inspiral Carpets jest grupa **Northside.** Pod okiem znanego producenta i, jednocześnie, lidera The Lightning Seeds, Iana Broudiego, rozpoczęła ona pracę nad swym pierwszym albumem.

■ Rough Trade może także poszczycić się interesującym nowym wykonawcą – formacją **The Breeders.** Nazwa świeża, ale stojący za nią ludzie dobrze znani są wszystkim fanom niezależnej sceny. Są to trzy panie: Kim Deal z Pixies, Tanya Donnelly z Throwing Muses i Josephine Wiggs z Perfect Disaster. Trio debiutuje w drugiej połowie maja płytą długograjacą – niestety, w chwili składania tej edycji „Zgiełku" nie znamy jeszcze jej tytułu. Gwoli uspokojenia zaniepokojonych fanów dodajmy, iż pojawienie się The Breeders nie oznacza rozłamu w macierzystych zespołach owych trzech dziewczyn.

DWA RODZAJE PECHA

■ **Lisa Stansfield** oraz dwóch członków jej grupy znaleźli się – nagle i mimo woli – w środku rytualnego mordobicia między kibicami rywalizujących ze sobą drużyn piłkarskich. Zdarzenie to miało miejsce w londyńskiej dzielnicy Soho 31 marca. Podniecone piwem i spirytualiami bandy fanów drużyn Chelsea i Middlesborough zderzyły się ze sobą tuż przed restauracją, skąd właśnie wyszła Stansfield z kolegami. Na szczęście obyło się bez poważniejszych obrażeń, jeśli nie liczyć lekkiego uszkodzenia szczęki jednego z muzyków.

■ Jak bardzo kruche i narażone na niemiłe niespodzianki jest życie niezależnych, mogli niedawno przekonać się wszyscy wykonawcy związani z wytwórnią **What Goes On,** w tym tak znane i szanowane amerykańskie formacje jak The Telescopes, Das Damen, Bitch Magnet i The Senseless Things. What Goes On w marcu ogłosiła bankructwo i przeszła pod zarząd firmy komisaryczno-likwidacyjnej. Naturalnie, wspomniane grupy zapewne wkrótce znajdą nowych opiekunów, niemniej to pechowe wydarzenie zakłóciło poważnie ich plany wydawnicze na najbliższe miesiące.

BILLY IDOL

33 1/3

★ Po 20 latach **Lou Reed i John Cale** – filary legendarnej grupy The Velvet Undergroud – postanowili nawiązać współpracę, by złożyć wspólnie hołd swemu wielkiemu mentorowi, Andy'emu Warholowi. Utwory na płycie *Songs For Drella* układają się w swego rodzaju intymną biografię małomiasteczkowego marzyciela, który stał się jednym z największych hochsztaplerów/artystów (do wyboru) XX wieku. (Sire).

★ 21 kwietnia na pierwszym miejscu brytyjskiej listy bestsellerów znalazł się – w pierwszym podejściu – nowy album **Fleetwood Mac** – *Behind The Mask*. Jest on zarazem debiutem dwóch nowych członków grupy – wokalistów i gitarzystów Ricka Vito i Billy'ego Burnette'a. (Warner Bros).

★ Inne efektowne wejścia na listę to *Brigade* zespołu **Heart** (Nr 3, 14 kwietnia) (Capitol); *Alannah Myles* piosenkarki o tym nazwisku (Nr 3) (Capitol) *Fear Of Black Planet* formacji **Public Enemy** (Nr 4) (Def Jam) i *Days Of Open Hand* **Suzanne Vegl** (Nr 7) (A & M) w zestawieniu „Music Week" z 28 kwietnia; *Life* grupy **Inspiral Carpets** (Nr 2) (Cow-Mute) i *Everybody Knows* **Sonl** w notowaniach z 5 maja.

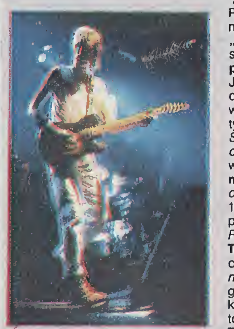


DAVID A. STEWART

★ Edycji płytowej doczekała się muzyka **Dave'a A. Stewarta,** napisana dla holenderskiego filmu *Da Kassire*. Ukazała się ona pod tytułem *Lily Was Here* i – zdaniem recenzenta – jej najmocniejszymi punktami są gra saksofonisty Candy'ego Dulfera oraz intrygująca wersja przeboju Eurythmics, *Here Comes The Rain.* (Anxious).

★ Gitarzysta **Mick Taylor** – odkrycie Johna Mayalla, później zastępca Briana Jonesa w The Rolling Stones – kontynuuje ze zmiennym szczęściem karierę solową. Nową pozycją w jego dyskografii jest LP *Stranger In Town* (Maze).

★ **World Party,** zespół dowodzony przez dawnego członka Waterboys, Karla Wallingera, oferuje po raczej długiej przerwie drugi album, zatytułowany *Goodbye Jumbo* (Ensign).



JULIAN COPE

★ Krótka chwila nostalgii... Po ośmiu latach od chwili nagrania ukazała się trzecia, „zaginiona" płyta liverpoolskiej formacji **Teardrop Explodes,** kierowanej przez Juliana Cope'a. Na jej oficjalną publikację zdecydowała się Fontana i opatrzyła tytułem *Everyone Wants To Shag The Teardrop Explodes*. Z kolei Receiver wznowił solową płytę **Polystyrene** z X-Ray Spex; *Translucence,* oryginalnie wydaną w 1981 roku przez EMI; Link przypomina *Crossing The Red Sea With The Adverts* **The Adverts** z 1978 roku oraz *The Boys* (1977) i *Alternative Chartbusters* (1978) grupy **The Boys;** na trzech kompaktach znalazły się natomiast „dzieła wszystkie" **The Soft Boys** z Robynem Hitchcockiem – *A Can Of Bees* (1977), *Underwater Moonlight* (1980) i *Invisible Hits* (single i EPs), firmowane przez wytwórnię Glass Fish. The Hound Dog rozpoczyna działalność edycją nagraniowych odrzutów **Eddie And The Hot Rods,** zatytułowaną *Curse Of The Hot Rods* oraz wznowieniem klasycznej w nurcie pub-rockowym płyty **Wilko Johnsona** *Ice One The Motorway*. Tymczasem dawny zespół Johnsona, **Dr. Feelgood** – wciąż żywotny, choć już nie tak popularny jak 10–15 lat temu – przygotował dla swych fanów koncertowy zestaw, *Live In London* (Grand).

★ Dobra nowina dla miłośników talentu **Iggy Popa:** Virgin wznowiła w formie kompaktowej dwie solowe płyty tego artysty – *The Idiot* i *Lust For Life* z drugiej połowy lat 70.

★ Notatki amerykańskie... Nazwę **Giant** upodobała sobie nowa grupa założona przez doświadczonych muzyków sesyjnych – gitarzystę Dana Huffa, znanego z płyt Foreigner i Whitesnake, „klawiszowca" Alana Pasqua'ę (m.in. Santana) oraz basistę Mike'a Brignandello i perkusistę Davida Huffa (brat Dana), związanych przez długie lata ze studiami w Nashville. Pierwszy album tej kongregacji nosi tytuł *Last Of The Runaways* (A & M)... Doskonale znani muzycy kryją się również pod kryptonimem **Damn Yankees,** którzy debiutują krążkiem o tej samej nazwie. Są to Rambo gitary elektrycznej, Ted Nugent, gitarzysta Styx, Tommy Shaw, oraz wokalista i basista Night Ranger, Jack Blades. (Warner Bros)... Szósta płyta solowa **Toma Verlaine'a** – jak zawsze z wielką życzliwością przyjęta przez krytyków – ochrzczona została imieniem *The Wonder* (Fontana)... **Johnny Thunders** – weteran New York Dolls i Heartbreakers i od z górą 10 lat solista, uważany za jednego z ojców chrzestnych punk rocka – postanowił wziąć odwet na podążających za nim krok w krok po całym świecie piratach fonograficznych. Na koncertowym albumie *Bootlegging The Bootleggers* zebrał nagrania przekopiowane właśnie z pirackich płyt (Jungle)... Po latach działalności w „podziemiu", **Sonic Youth** debiutuje w barwach dużej wytwórni Geffen krążkiem *(IT) Goo (RO)*... Nowy, post-hardcore rock amerykański reprezentują **Tad** z *Salt Lick* (Sub Pop), **Subvert** z *Free Your Mind* (Raging Records), **Fugazi** z *Repeater* (Dischord) i **Flour** z *LUV 713* (Touch And Go)... Kultowa postać nowojorskiej sceny rockowej, Kramer będący zarazem szefem firmy Shimmy Disc oferuje nowy LP swej formacji **Bongwater,** *Too Much Sleep* oraz czwarty krążek kierowanej również przez siebie grupy **B.A.L.L.,** zatytułowany *B.A.L.L. Four – Hardball*, na którym pierwszą stronę wypełniają nowe uwory, a drugą – instrumentalne, gitarowe sprinty. Warto dodać, iż europejskiej edycji doczekał się wreszcie dostępny dotąd jedynie w sklepach z wydawnictwami importowanymi z USA dwupłytowy album **Bongwater,** *Double Bummer* (Shimmy Disc Europe)... **The Band Of Blacky Ranchette,** założony przez Howe'a Gelba z nie istniejącego już zespołu Giant Sand, inauguruje działalność wydaniem LP *Sage Advice* (Demon)... Z kolei były członek The Silos, **Walter Salas Humara** oferuje krążek opatrzony tytułem *Lagartija* (Rough Trade)... Jeden z czołowych wykonawców związanych z głośnym przed 5–7 laty nurtem trad rocka, **Del Fuegos,** przypomina o swoim istnieniu płytą *Smoking In The Fields* (RCA)... Avant-rockowy duet elektroniczny z Nowego Jorku, **Smersh,** uważany za spadkobiercę legendarnego Suicide, firmuje LP opatrzony



VINCE CLARKE (Erasure) Fot.: ROMAN ROGOWIECKI

Co będzie tego lata en vogue w modzie? Jeśli posłuchacie dokładnie hitu Madonny *Vogue*... od tyłu, to dowiecie się, że przebojem lata'90 jest **T-shirt MAGAZYNU MUZYCZNEGO.** Aktualnie kilkanaście sztuk trafiło do różnych ludzi sympatyzujących z naszym pismem. Jak widać z obrazka szef Erasure **Vince Clarke** z dumą prezentuje naszą koszulkę. Być może wkrótce rzucimy na rynek krótką serię naszych T-shirtów w zupełnie realnych cenach. Chyba jesteści gotowi na mały wydatek, który daje wielką frajdę.

33 1/3

rozkoszną i wielce obiecującą nazwą *Emmanuelle Goes To Bangkok* (KK)... Inne nowości z amerykańskiej sceny: *What Goes Down* – **The Alabama Kids** (Schemer), *Leap* – **White Glove Test** (Fundamental), *Smallmouth* – **Scrawl** (Rough Trade), *To Spile My Face* – **Sister Ray** (Resonance), *Hornel Pinata* – **The Ditjits** (Touch And Go), *Like A Version* – **Two Nice Girls** (Rough Trade), *Viva Lerois* – **The Lerol Brothers** (New Rose), *Portent Hue* – **Caterwaul** (IRS).

★ Na osobną wzmiankę zasługuje dwupłytowa składanka utworów Jima Thirlwella – jednego z najoryginalniejszych wykonawców z Nowego Jorku, który swe ścieżki dźwiękowe do koszmarów współczesnego życia opatrywał najróżniejszymi kryptonimami, m.in. The Foetus All-Nude Revue, Scraping Foetus Off The Wheel, Foetus Art Terrorism, Foetus Eruptus i Clint Ruin. Wobec mnogości artystycznych wcieleń, Thirlwell zdecydował się zrzeszyć je w kartelu **Foetus Inc.,** a jego produkt ochrzcić stosownie *Sink*, co znaczy – *Zlew* (Some Bizzare).

★ Po drugiej stronie Atlantyku, Howard Devoto – niegdyś członek Buzzcocks, później lider Magazine – któremu niezbyt dopisywało szczęście jako soliście w latach 80. – w 1988 roku założył wraz z multiinstrumentalistą Noko efemeryczną formację **Luxuria.** W kwietniu ukazała się jej druga płyta długogrająca, *Beast Box*, nawiązująca bardzo silnie – jak zauważa recenzent „Music Week" – do stylistyki nieodżałowanego Magazine. Związek z przeszłością jak gdyby podkreśla osoba producenta, Dave'a Formuli – dawnego członka tego zespołu. (Beggars Banquet).

★ Zachodnioberlińska grupa **Die Haut,** w której karierze istotną rolę odegrała współpraca z Nickiem Cavem i Lydią Lunch, oferuje trzeci LP, *Die Hard*. Dowodzi on – jak napisał jeden z krytyków – iż jest to *jeden z nielicznych europejskich wykonawców, jaki może z powodzeniem konkurować z Dinosaur Jr, Sonic Youth i im podobnymi* (z USA). (What's So Funny About...).

★ Na wiosenną propozycję belgijskiego centrum bodybeat music – firmy Antler-Subway, składają się *Dive* zespołu **Dive,** *Heresy* **Borisa Mikulica,** *Zenlese* formacji **Para,** *Juggernaut* – **Sons Of Arqua,** *Kiss Of Fury* – **A Split Second,** *Groovy Tunes* – **Groovy Tunes** oraz składanka, a zarazem reklamówka tego wydawnictwa *Somewhere In A Skeleton*.

★ Samorządni i niezależni – jednym tchem: **Gaye Bykers On Acid** (odrączeni przez Virgin) – *Cancer Planet Mission* (Naked Brain) **The Band Of Holy Joy** – *Positively Spooked* (Rough Trade), **Crispy Ambulance** – *The Plateau Phase* (Factory), **Died Pretty** – *Every Brilliant Eye* (Beggars Banquet), **The Soup Dragons** – *Lovegod* (Big Life), **Blake Babies** – *Earwing* (Mammoth), **Billy Bragg** – *The Internationale*, czyli *Międzynarodówka* i inne komunistyczne hymny (Utility), **Walking Seeds** – *Bad Orb... Whirling Wheel* (Paperhouse), **Dessau** – *Exercise In Tension* (Carlyle), **First Things First** – *Dirtbag Blowout* (Glitterhouse), **The Bachelor Pad** – *Tales Of Hoffman* (Imaginary), **Western Promise** – *Showdown With Fate* (Midnight Music) **Toxic Shock** – *Welcome Home* (SPV), **The Last Party** – *Love Handles* (Harvey), **Beats International** – *Let Them Eat Bingo* (Go! Beat), **Brendan Croker And The 5 O'Clock Shadows** – *Brendan Croker And The 5 O'Clock Shadows* (Silvertone), **Little Red Schoolhouse** – *Grubby Highway, Country Lane* (Cherry Red), **23 Skidoo** *The Culling Is Coming* (Layla), **Saint Vitus** – *V* (SPV), **WMTID** – *The Electric Church* (Concrete Productions), **The Guana Batz** – *Elektra Glides In Blue* (New Routes), **The Pollen** (z Francji) – *Colours And Make Believe* (Danceteria), **Jody And The Creams** – *A Big Dog-n* (Cordelia), **Meatfly** – *Meatfly* (In Your Face).

★ Specjalizująca się we współczesnej muzyce folk firma Cooking Vinyl proponuje amatorom tego gatunku *Shadow Hunter* **Davy'ego Spillane'a** *Live* **Bruce'a Cockburna,** *Turn Things Upside Down* grupy **The Happy End** oraz reedycję albumu **Clannad** z 1981 – *Fuaim*. Mniej konwencjonalne podejście do tradycji reprezentuje natomiast zespół **Blyth Power,** okrzyknięty nieco spóźnioną odpowiedzią Anglii na The Pogues po ukazaniu się LP *Alnwick And Tyne* (Midnight Music).

★ Na scenie niezależnych równie dużą rolę jak albumy odgrywają 12-calowe EPs, o czym chyba nikogo zainteresowanego nie trzeba przekonywać. Postanowiliśmy więc – trochę wbrew tytułowi naszej rubryki – informować o co ciekawszych pozycjach wydawanych w tym formacie. Akurat, tym razem, doprawdy jest w czym wybierać: **My Bloody Valentine** – *Glider* (Creation), **Ultra Vivid Scene** – *Staring At The Sun* (4AD), **Thee Hypnotics** – *Come Down Heavy* (Situation 2), **Ned's Atomic Dustbin** – *The Ingredients* (Chapter 22). **Ride** – *The Play* (Creation), **à; GRUMH** – *And Now For Something Different But Not Too Much* (Creation), **Alternative TV** – *SOL* (Chapter 22) i **The Penny Candles** – *Taj Mahal* (Red Eye).

★ Na wyróżnienie w tym miesiącu – wyjątkowo nie za nazwę ani tytuł, lecz za określenie stylu granej muzyki – zasługuje bezsprzecznie formacja **Greater Than One** z LP *G-Force*, która specjalizuje się w uprawianiu *industrial art acid house pop music.* Jasne? (Torso)

★ Dla rówowagi i dla złapania oddechu przed atakiem metalowców – mieszanka wielkofirmowa: **That Petrol Emotion** – *Chemicrazy* (Virgin) **Hothouse Flowers** – *Home* (London), **Keny G** – *Montage* (Arista), **Brenda Cochrane** – *The Voice* (Polydor), **The Heretics** *Gods And Gangsters* (Island), **Michael Penn** (młodszy brat aktora Seana Penna, byłego męża Madonny) – *March* (RCA), **Energy Orchard** – *Energy Orchard* (MCA), **Brian Kennedy** – *The Great War Of Words* (RCA), **The Wild Flowers** – *Tales Like These* (London), **Hurricane** – *Slave To The Thrill* (MGM), **Big Fun** – *A Packetful Of Dreams* (Jive), **A House** – *I Want Too Much* (blanco y negro – WEA), **Shark Island** – *Law Of The Order* (Epic), **The Bathers** – *Sweet Deceit* (CGT-Island), **The 4 Of Us** – *Songs For The Templed* (CBS), **Thomas Lang** (eks-The Korgis z Liverpoolu) – *Little Moscow* (Epic), **Manitobas Wild Kingdom** – *And You* (MCA), **Something Happened** – *Stick Together With God's Glue* (Virgin) oraz **Hunters And Collectors** z Australii – *Ghost Nation* (east-west – WEA). Z wydziału składanek otrzymaliśmy natomiast retrospektywne przeglądy twórczości **Davida Bowiego** – *Changesbowie* (dwupłytowy album – 21 utworów, pojedynczy compact disc – 18 utworów: EMI), **ABC** – *Absolutely ABC* (Neutron), **Groundhogs** – *Groundhogs 1969–1972* (EMI), *Through A Big Country – Greatest Hits* (Mercury), **The Go-Betweens** – *1978–1989* (Beggars Banquet) oraz **Squeeze** – *A Round And A Bout* (A & M). Warto dorzucić, iż lider Squeeze **Jools Holland,** nagrał solowy album *World Of His Own* (IRS).

★ Parada gitarowych herosów i demonów: **U.D.O.** – *Faceless World* (RCA), **Tora Tora** – *Surprise Attack* (A & M), **Warrior Soul** – *Last Decade, Dead Century* (Geffen), **Acid Reign** – *Obnoxious* (Under One Flag), **Circus Of Power** – *Vices* (RCA), **Elixir** – *Lethal Potion* (Sonic-Total), **Jezebelle** – *Bad Attitude* – (FM-Revolver), **The Libido Boyz** – *Hiding Away* (First Strike), **Slaughter** – *Stick It To Ya* (Chrysalis), **Warfare** – *Hammer Horror* (FM-Revolver), **Celtic Frost** – *Vanity/Nemesis* (Noise), **Tankard** – *Hair Of The Dog* (Noise), **Toranaga** – *God's Gift* (Chrysalis), **Bathory** – *Hammerheart* (Noise), **Bloodfeast** – *Kill For Pleasure* (Shark), **The Heavys** – *Metal Marathon* (Ariola), **Hellhammer** – *Apocalyptic Raids* (Noise), **Drive She Said** – *Drive She Said* (Music For Nations), **Atrophy** – *Violence By Nature* (Roadracer), **Scabs** – *Royalty In The Exile* (Play It Again Sam) oraz – na deser – **Bruce Dickinson** – *Tattooed Millionaire* (EMI).

★ Hulaj gęby z samplerami – wystąp! **Soul II Soul** – *Soul II Soul Volume 2, A New Decade* (AVL), **Professor Griff And The Last Asiatic Disciples** – *Pawns In The Game* (Skywalker Records), **Boo-Yaa T.R.I.B.E.** (sześciu Samoańczyków z Los Angeles!) – *New Funky Nation* (4th & B'way), **Rebel MC** – *Rebel Music* (Desire), **Jazzy Jeff, DJ And Fresh Prince** – *In This Corner* (Jive), **A Tribe Called Quest** – *People's Instinctive Travels* (Jive), **Digital Underground** – *Sex Packets* (RCA), **Doug Lazy** – *Doug Lazy Gettin' Crazy* (Atlantic), **NWA And Posse** – *NWA And Posse* (Rams Horn), **MC 900 Foot Jesus With DJ Zero** – *Hell With The Lid Off* (Network), **MC Hammer** – *Please Hammer, Don't Hurt 'Em* (Capitol), **MC Sham** – *Play It Again Sham* (Cold Chillin' WEA), **Vanilla Ice** – *Hooked* (Survival), **Steady B** – *Going Steady* (Jive), **Def Squad** – *Hard Hittin'* (Mr H-Ichiban).

Krzyki i Szepty

★ Słynny pechowiec **Paweł Nazimek** rozstał się definitywnie ze Sztywnym Palem Azji.

★ Grupę **Closterkeller** opuścił perkusista, Andrzej Szymańczak występujący obecnie w nowej warszawskiej formacji **Why.** Jego miejsce zajął Zbyszek Kumorowski (eks-Ziyo).

★ Do pracy nad kolejną płytą długogrającą w warszawskim studiu S-4 przystąpił **Lech Janerka.** Jak donoszą nasi tajni wysłannicy powstaje tam materiał jakiego jeszcze w kraju nie słyszano. Do realizacji filmu o Lechu przystąpił drugi program brytyjskiej BBC!!!

★ Zespół widmo **Cold War**, działający już 5 lat, przystąpił do nagrywania drugiej płyty długogrającej. Ma ją wydać, podobnie jak pierwszy krążek grupy, firma Veriton.

★ U Andrzeja Puczyńskiego nagrywali ostatnio heavy rapowcy **Dziko Kiszkowcy.** Ofiar w ludziach nie było.



BOGDAN ŁYSZKIEWICZ

Fot.: ANDRZEJ KRAWCZYK

★ **Bogdan Łyszkiewicz** (Chłopcy z Placu Broni): *Teraz wreszcie mogę to wyznać: wokalistą zostałem dlatego, że jestem leniwy i nie lubię nosić że sobą żadnych instrumentów. Pomimo tego faktu mam zamiar grać rock and rolla aż do emerytury.*

★ **Andrzej Kobra Kraiński** (Kobranocka): *Sporo jest u nas jeszcze spadkobierców braci Marx, a szczególnie tego jednego, co się nie załapał do filmu i zaczął kombinować z filozofią.*

★ **Robert Gawliński** (Wilki): *Śpiewam po polsku w przeciwieństwie do innych, którzy pustkę swych myśli wypełniają językiem angielskim.*

★ **Paweł Kukiz** (Piersi): *Jeśli uda mi się zebrać pieniądze oraz rozrzuconych po świecie muzyków, to wkrótce przystąpimy do nagrywania swej pierwszej płyty.*



DE MONO Fot.: MARIUSZ PIETROŃ

★ Po światowych wojażach do kraju powrócił lider legendarnej formacji TZN XENNA, **Krzysztof Zygzak Chojnacki.** Jego nowy zespół nosi nazwę Lumpersi.

★ Niespokojnego ducha polskich scen i studiów, **Kostka Joriadisa,** widziano podczas wspólnej sesji z grupą De Mono.

★ **Jurek Durał** (ZIYO): Jest *kilku wokalistów, którzy wywarli duży wpływ na moje śpiewanie. Myślę tu przede wszystkim o Bono. Gdy jednak ktoś zarzuca mi, że śpiewam pod niego, bardzo mnie to irytuje, gdyż nie jest ważne pod kogo się śpiewa, tylko co dzieje się z tobą, gdy tego słuchasz. A to, że odkryłem w swoim głosie barwę, z którą czuję się najlepiej, z którą śpiewa mi się najlepiej... i jest ona podobna do barwy Bono, to już nie moja wina.*

SUPER NEWS

★ W dniach 17–19 maja w warszawskim Studiu S-4 gdyński zespół **No Limits** realizował, z okazji 10-lecia powstania Solidarności, hymn, który będzie motywem przewodnim sierpniowych obchodów. Hymn ten powstał na specjalne zlecenie Lecha Wałęsy.

★ Słynne wejherowskie studio nagraniowe Waldka Rudzieckiego zmieniło właściciela – został nim Piotr Łyszkiewicz, menażer gdyńskiego zespołu No Limits. Obecnie studio mieści się w Gdyni i nosi nazwę Modern Sound.

★ *Nasza obecna muzyka jest trudna i ciężka. Nie polecam jej nikomu.* **Igor Czerniawski** (Aya RL).

★ *No Movie Soundtrack*, taki tytuł nosić będzie pierwsza płyta grupy **No Limits and Dr Caba.** Wcześniej materiał ten ukaże się na kasecie.

★ Prawdopodobnie na początku lipca odwiedzi nasz kraj angielska formacja **Alen Sex Fiend.** Słynni nowofalowcy wystąpią (?) 11 i 12 lipca w Sopocie obok Garden Party, Golden Life, Reds, Furmanki i innych krajowych muzykantów, po czym ruszą na podbój reszty naszej pięknej krainy. A w „MM" już za miesiąc duży wywiad z Alienami – specjalnie dla Was!

★ Były gitarzysta T. Love (jeszcze z częstochowskich czasów) – **Janusz Knorowski** został asystentem na Wydziale Malarstwa warszawskiej ASP, gdzie wpisuje zaliczenia m.in. innemu częstochowianinowi – Jackowi Pałusze.

★ Tymczasem **T. Love** w całkowicie nowym składzie przygotował całkowicie nowy materiał na całkowicie nową płytę. Muniek część tekstów śpiewa po angielsku, a jeden z nich – *Don't Go Paul* (autorstwa Pawła Dunin-Wąsowicza, znanego między innymi z naszych łamów) poświęcony jest naszemu byłem redakcyjnemu koledze, Pawłowi Sito. To się nazywa kunktatorstwo!

★ W dniach 27–29.V.90 r. w gdańskim klubie „Medyk" odbyły się koncerty z okazji święta Akademii Medycznej. Wystąpiły m.in. Voo Voo, Sztywny Pal Azji, Balkan Electrique, Holloy Polloy, Golden Life (z Majką Kisielińską – wokalistką innej gdańskiej formacji – Garden Party), I'M Thirsty Mum, Oczi Czіorne i wiele innych. Było piwo, sympatyczna atmosfera i świetna zabawa prawie do rana.

★ Na początku maja rozwiązał się i kilka dni później ponownie się zawiązał zespół **Tilt.**

★ Jest wielce prawdopodobne, że już wkrótce brytyjska firma 4AD wyda płytę warszawskiej formacji **Balkan Electrique**. Wiadomość pochodzi z najpewniejszego źródła, bo z ust samego szefa wytwórni – Ivo Watts-Russela. No, no, no...

Kupić? Nie kupić?

● Na pewno Polskie Nagrania mile zaskoczyły naszych zwolenników thrash metalu. Chyba zresztą nikomu spośród czytelników „MM" nie trzeba wyjaśniać, co to za grupa **Slayer.** *A Live Undead* – zapis nowojorskiego koncertu tego amerykańskiego kwartetu z 1984 r., z utworami jak *Black Magic* czy *Show No Mercy*, można polecić wszystkim, których przynajmniej trochę interesuje ciężki rock w swej najbardziej szalonej, wściekłej postaci. To już klasyka, choć słowo to jakoś niezbyt pasuje do tego rodzaju twórczości; SX 2896.

● Następna dawka amerykańskiego metalu z Polskich Nagrań. Tym razem przebojowego i połyskującego platyną. Także u nas ukazał się ostatni – jak dotąd – longplay **Bon Jovi,** *New Jersey*. Jeśli ktoś lubi Bongioviego i jego kolezków – trudno o coś lepszego; SX 2892.

● I jeszcze raz „HM z PN": płyta szalonego **Kinga Diamonda** – *Conspiracy*. Można sobie pozwolić na taki suplement, jeśli w kieszeni zostały jakieś pieniądze... (SX 2895).

● Polskie Nagrania znów przypominają o big-beatowych czasach. Niestety, „składanka" *Gwiazdy mocnego uderzenia z lat 60.* jest zestawiona w sposób dość dyskusyjny. Nie każdemu może odpowiadać słuchanie ówczesnych artystów z ambicjami (np. **Czesław Niemen)** obok – mówiąc oględnie – „komercji" (np. **Katarzyna Sobczyk i Henryk Fabian);** SX 2800.

● Tonpress też ma swe licencyjne atrakcje. *Rainbow Warriors* to dobrze u nas znany (i lubiany), dwupłytowy album, który służy propagowaniu idei ochrony środowiska naturalnego, a zawiera zestaw nagrań światowej czołówki – począwszy od **U2, R.E.M. Eurythmics.** Jest też polski akcent – **Basia;** SX T-187/188.

● Coś bardziej wyrafinowanego, kolejna tonpressowska niespodzianka dla prawdziwych wielbicieli rocka: przypomnienie nowofalowej, awangardowej grupy z USA, **Pere Ubu** i jej muzyki z początku minionej dekady. Jest to oryginalny, wydany wcześniej przez Rough Trade, wybór singlowych nagrań Davida Thomasa i spółki, zatytułowany – *Terminal Tower;* SX T-167.

● jeszcze jedna licencyjna pozycja z Tonpressu: solidny jazz–rock **George'a Wadeniusa,** gitarzysty znanego przed laty z Blood, Sweat And Tears; *Cleo*, SX-T182.

● Veriton także efektownie wzbogaca ofertę naszej fonografii płytą, która może spodobać się każdemu; wydał najnowszy longplay **Tiny Turner,** *Foreign Affair*, SXV 1013.

● Polski rock z Veritonu to tym razem *Darmozjady* **Darka Duszy;** SXV 1007.

● Powyższa płyta, jak i longplay Kultu, *Kaseta* – całkiem udany, gdyby nie anglojęzyczne „dodatki" – powinny być odnotowane w tej rubryce wcześniej. Ale mamy zasadę, że piszemy o płytach, które właśnie można kupić. A *Darmozjady* i *Kaseta* pojawiły się w warszawskich sklepach w „sygnalnych" ilościach i... znikły. Może nowy, od niedawna konkurujący ze Składnicą Księgarską, dystrybutor płyt – warszawska agencja AIA coś tu zmieni na lepsze? Uzupełnienie: longplay Kultu wydał Arston, ALP-045.

● Duża porcja muzyki z Pronitu dla najzagorzalszych zwolenników polskiego heavy metalu: *Oddech wymarłych światów* **Kata** (PLP 0111), debiutancka płyta **Stosu** (*Stos*, PLP 0114) i – także pierwszy – longplay **IRA** (*IRA*, PLP 0116). Poza tym ukazała się kolejna dźwiękowa pamiątka z kolejnej „Metalmanii" (*Metalmania 89*, PLP 0113).

● Pronit wszedł też na „jazzową łączkę". Jednak proponuje coś raczej tylko dla koneserów i kolekcjonerów ciekawostek. Zaczął wydawać – na licencji – archiwalną serię *Women's Heritage*. Jako pierwsze ukazały się: *Wise Woman Blues* **Dianah Washington** (PLP 0104) i *Boogie Blues. Women Sing And Play Boogie* – „składankowa" płyta m.in. z udziałem **Elli Fitzgerald, Mary Lou Williams** i **Lil Armstrong** (PLP 0102).

● Poljazz to tym razem także stary jazz i blues. Bluesowi fani mogą zaopatrzyć się w nstępne pozycje z wartościowego cyklu *Blues Roots* – w płyty takich klasyków jak **Sunnyland Slim** (PSJ-240), **Champion Jack Dupree** (PSJ–241), **Otis Spann** (PSJ-242) i **Lonnie Johnson** (PSJ–243). Na zwolenników jazzu sprzed kilkudziesięciu lat czekają nagrania **Duke'a Ellingtona** *(The 1954 Los Angeles Concert*, PSJ-237) i **Lionela Hamptona** (PSJ-258).

LADY PANK
Warszawa, Park, 6.05.1990 r.

Nie ukrywam, że na ten koncert czekałem z niecierpliwością. Po długich wakacjach Lady Pank – bezapelacyjnie najlepszy polski zespół rockowy lat 80., zdecydował się nareszcie wrócić na rynek. Spotkanie w Parku było pomyślane jako prapremiera show, który zapewne obecnie krąży po kraju, promując nowy album. Specyfika tego spektaklu polegała na przedstawieniu serii premierowych utworów bez tak obowiązkowego podpierania się klasyką. Taki secret gig dla znajomych i ludzi z branży.

Wiecie jak słucha się zupełnie nowej płyty, na której znajdują się jeszcze nie ograne utwory. Lady Pank zdecydował się na ten samobójczy krok w wersji koncertowej i wyszedł z tej opresji bez szwanku. Dawno nie widziałem polskiej kapeli, która grała z taką agresją i pasją jak ekipa Jasia Bo. Nowa sekcja rytmiczna ze starym „pankiem", Jarkiem Szlagowskim za perkusją i Kostek Joriadis przy klawiszach stanowili solidny, rockowy kręgosłup dla rewelacyjnych popisów gitarowego tornada w osobie Jana Borysewicza. Janek obecnie gra i wygląda fantastycznie, a jego dłuuugie czarne loki są tak poskręcane, jak przejrzyste i klarowne są jego solówki. Ten facet jest obecnie klasą dla siebie i nikt nie gra w Rzeczpospolitej tak porywająco jak on. Jego piękne, wycyzelowane solo wywodzące się ze szkoły gry Claptona z domieszką Knopflera w starym numerze *Nie wierz nigdy kobiecie*, przerodziło się w tour de force całego mityngu. Nie mam złudzeń, że Jaś Bo znalazł autentycznie swój styl, w którym technika i wyobraźnia wzajemnie się uzupełniają. Co najważniejsze, Bo nie stał się niewolnikiem tricków technicznych i nie tworzy sztuki dla sztuki, charakteryzującej twórczość wielu młodych czarodziejów gitary zza Oceanu.

Z 60-minutowego repertuaru soczystych, rockowych kawałków zagranych praktycznie bez przerwy, w moich uszach najwięcej zamieszania wywołał spokojniejszy temat *Nie omijaj mnie* i zbliżony do słynnego *Jump* (Van Halen) numer *Dopóki da nam czas*. Profesjonalnym pociągnięciem w dramaturgii koncertu było wyhamowanie tempa w jego połowie na akustycznym kawałku *Zawsze tam.* Ma on w sobie coś z klimatu *Patience* osławionych Guns N'Roses.

Bardzo rockowo i ze smakiem ubrani (czarne T-shirty) Lady Pank znowu pozwolili mi odzyskać wiarę w polski rock, choć Janusz Panasewicz ma jeszcze duże luki jako frontman i zupełnie zapomina o czymś takim, jak nawiązanie kontaktu z publicznością. Warto też wzbogacić te mocno amerykańskie kawałki większymi chórkami, bo wtedy wszystko zabrzmi o wiele bogaciej. Nie będę oceniał samego show, gdyż na małej scenie, przed grupą przyjaciół i bez rockowych świateł trudno o takowy. Z przytomnymi i chwytliwymi tekstami Jacka Skubikowskiego nowe numery rozsadzanego energią Jasia Bo w wydaniu Lady Pank są godne biletu za kilkanaście nędznych tysięcy. Przekonajcie się o tym sami!

ROMEK ROGOWIECKI

METALMANIA
Katowice, Spodek, 27.04.1990 r.

Wprawdzie złamana noga perkusisty zespołu Kinga Diamonda w pewnej chwili postawiła tę imprezę pod znakiem zapytania, ale pomocna dłoń jeszcze nie zjednoczonych Niemców uratowała jubileuszowy thrashmetalowy maraton. Siedem godzin serdecznego łomotu dało morze radości wiernym i licznym fanom oraz okazję do kilku refleksji dla niżej podpisanego.

Przede wszystkim konfrontacja naszej czołówki z niemieckimi gwiazdami potwierdziła opinię, że z muzyką jesteśmy w Europie. Mille Petrozza i jego Kreator to klasowi rzemieślnicy, ale przez dwa lata, od ostatniego pobytu w Polsce, niewiele się w ich muzyce zmieniło. Dla odmiany Turbo, ciągle poszukujący Wolf Spider i coraz lepszy scenicznie Hammer, robią postępy dosłownie na naszych oczach. Mam wprawdzie wrażenie, że czasami niektórym muzykom brakuje typowo thrashmetalowego zwariowania na estradzie (szczególnie Wolf Spider), ale muzycznie jest coraz lepiej. Turbo, broniąc się przed nadmierną komercjalizacją, ciągle wzbogaca swoje i tak so-

BALKAN ELECTRIQUE
Warszawa, Remont, 20.04.1990 r.



Fot.: JERZY LINDER

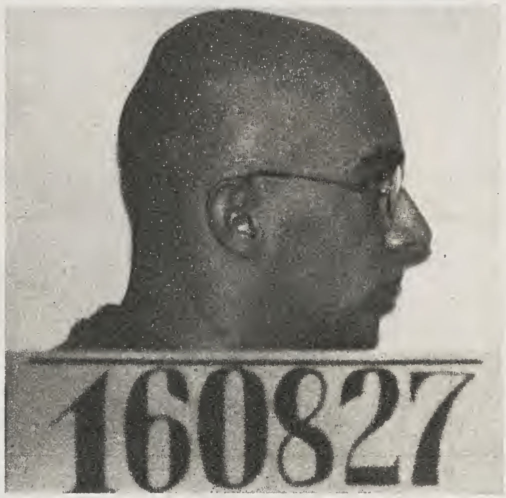
Dość długo nie było mnie w Polsce i, idąc na ten koncert, bałem się, że nie wytrzyma on porównania z tym, co widziałem w Londynie. A on wytrzymał – i to jak! To, co działo się na scenie może być (zarówno w warstwie muzycznej, jak i wizualnej) przykładem profesjonalizmu na bynajmniej nie polskim poziomie. Lekka, oszczędnie zaaranżowana muzyka (coraz więcej tu radiowych przebojów, takich jak *Kalino Lyu*, *Hijackers Party*, *Je Mi Podaj*, czy ostatni – *No Longer With You*, witanych przez publiczność chóralnym uaaa!) – co prawda w znacznej części odtwarzana z taśmy, ale przytomne komentarze Sławka Starosty i jak najbardziej żywy śpiew Violki Najdenowicz sprawiły, że w tym przypadku półplaybacki nie raziły.

Koncert był równocześnie pokazem mody firmowanej przez Balkan Electrique Design, co chwila więc Sławek lub Violka znikali na moment ze sceny, aby, ku uciesze gawiedzi, pojawić się w nowym ciuchu (co dawało poza tym pretekst do spekulacji: zdążą czy nie zdążą przebrać się na czas).

Nie projektowane przez zespół kolorowe wdzianka były jednak moim zdaniem główną wizualną atrakcją. To, że na scenę patrzyło się z zapartym tchem sprawił stojący za konsoletą od świateł Jerzy Linder. Przez cały czas wyświetlał on na zamykającej niewielką scenę ścianie mnóstwo kolorowych slajdów: czasem były to po prostu zdjęcia duetu, innym razem geometryczne wzory lub zgoła jakieś abstrakcyjne kompozycje. Wszystko płynnie się przenikało, dając niesamowity efekt i – co najważniejsze – znakomicie współistniało z muzyką. Coś wspaniałego po prostu – trzeba to koniecznie zobaczyć, gdyż, jak sądzę, owe obrazki stanowią o atrakcyjności koncertu na równi z muzyką.

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI

KOBRANOCKA
Warszawa, Remont, 4.05.1990 r.



ANDRZEJ KOBRA KRAIŃSKI

Fot.: TADEUSZ MISIASZEK

Rock and rollowy antychryst pod postacią Kobranocki nawiedził wreszcie ze swymi szatańskimi wersetami warszawski klub Remont. Koncert ten był doskonałą okazją żeby skonfrontować jakość i konsekwencję z jaką zespół realizuje deklaracje lidera zawarte w poprzednim numerze „MM". I trzeba przyznać, że intencje idące w parze z możliwościami, owocują nader ciekawym efektem. To, co Kobranocka proponuje dzisiaj swemu odbiorcy, to jak dawniej, ostry i siarczysty rock and roll, jednak bez popowej jak kiedyś melodyki. To stanowi istotne novum. Drogowskazem dla Kobry, jak sam podkreśla, jest melodyjny hard rock, w kierunku którego podąża bez wyraźnego stąpania po czyichć śladach, czego najlepszym przykładem są takie utwory, jak *Stepowanie kota w mroku* czy *Westchnienia wielu żon funkcjonariuszy*.

Obłędna galopada kąśliwych, ostrych riffów, ogniste solowe eskapady rozkręcającego się z numeru na numer Perkoza, który dał pokaz swych prawdziwych umiejętności w finałowym *Współczuciu dla diabła* i balladzie *Kocham cię jak Irlandię*, przeplatane były starymi, nieco spokojniejszymi przebojami.

Klasą dla siebie był także bębniarz Piotr Wysocki z kamienną twarzą (niczym Jet Black z The Stranglers) i nad wyraz dużą precyzją młócący swe opętańcze rytmy. Z komercyjnego punktu widzenia nowy repertuar Kobranockowców (Kobranocników?) zawiera w sobie mniej przebojów aniżeli poprzednie wcielenie grupy, jednakże takie propozycje, jak numer *Kwiaty na żywopłocie* pokazują, iż grupa może mieć jeszcze dużo do powiedzenia. No i teksty, stanowiące własny szyderczy komentarz do rzeczywistości, patroszące świat soc-paranoi w paranoiczny sposób. Ironia zamiast martyrologii. To jest to. Reasumując, gdyby nie fakt osaczenia dwoma metrami kwadratowymi scenicznej przestrzeni lidera lubiącego pójść na koncertową całość, gdyby nie kłębiące się po sali kuchenne opary o woni starego bigosu, gdyby nie ciepłe piwo w barze (za okrągłe 26 stopni!), gdyby nie..., to koncert ten można by zaliczyć do całkiem udanych. Rock and rollowego szczytowania jednak nie było.

KUBA WOJEWÓDZKI

1984
Rzeszów, Dom Kultury na Zalesiu, 20.04.1990 r.

To oni jeszcze istnieją? Okazuje się, że tak. Mizerny zaskoczył chyba wszystkich oświadczeniem, że wraca na scenę, a na dzień dobry – w czasie pierwszego po dwuletniej prawie nieobecności koncertu – nagra płytę.

I nagrał. Nie wiem, co prawda, jaka będzie jakość tego krążka, bo w czasie występu pojawiło się sporo problemów z okiełznaniem sprzętu, ale daj Panie Boże tyle energii i umiejętności innym naszym rockandrollowcom. 1984 to teraz trio tworzone przez grającego na gitarze (oj słychać, że ten instrument trafił w ręce muzyka, który dokładnie wie, do czego on służy) i śpiewającego (tak, tak!) Piotra „Mizernego" Liszcza oraz perkusistę „Czarnego" i basistę Marka Kisiela – Żhanego z grupy No Smoking. Muzyka też się zmieniła – jest teraz prostsza, bliższa rockowej tradycji i o wiele mocniejsza.

Zespół w pewnym momencie chyba nie wytrzymał psychicznej presji będącej efektem pozycji, którą osiągnął i wpadł w kanał. Teraz wygląda na to, iż wreszcie pozbył się problemów alkoholowych i nieodpowiedzialnych menażerów, wydorośłał i... odreagował bagienko, w którym tkwił przez ostatnie lata brutalną, ostrą muzyką i takimiż – pełnymi pasji i goryczy tekstami. Odreagował tworząc nowy program i – sądząc po poziomie koncertu – uczciwie nad nim pracujący.

Były oczywiście stare przeboje – m.in. *Zaśpiewaj wojowniku*, *Ferma Hodowlana* i *Tu nie będzie rewolucji*, ale trzon występu stanowiły utwory zupełnie nowe, które dawnych fanów pewnie nieco zaskoczą, ale mam wrażenie, że szybko zdobędą sobie uznanie. Są po prostu zrobione z głową i, jeśli muzycy ponownie nie wpakują się w jakieś podejrzane układy (do czego mają, zdaje się, wybitne zdolności) sądzę że będziemy mieli do czynienia z całkiem udanym come backiem.

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI

LES GARÇONS BOUCHERS, DE MONO
Warszawa, Stodoła, 17.05.1990 r.

Chłopcy Rzeźnicy przyjechali do Polski opromienieni sławą zespołu leżącego w kręgu zainteresowań firmy Island oraz faktem nadawania swym występom obscenicznych form (do ulubionych grepsów grup należy szatkowanie na scenie mięsa i rzucanie nim w publiczność). A co przyniósł koncert. Les Garçons Bouchers okazali się być piątką francuskich kuglarzy, grających muzykę – mieszaninę dźwięków już dawno przeżutych i dziesiątki razy wyplutych przez innych, większych. Grana z niezłym tempem (bas i bębny z pudełka) witalna mieszanina rock and rolla, ska, rapu i punk rocka okraszona była solowymi popisami grającego na skrzypcach, akordeonie, saksofonie i gitarze, ważącego 125 kg lidera oraz perwersyjnymi tańcami pozostałej czwórki. Cały ten cyrk bez niespodzianek kręcił się blisko półtorej godziny (o godzinę za długo).

Jednym słowem, wszystko już było...

De Mono udowodniło natomiast, że pomimo tak wielu sukcesów, dalekie jest od zmanierowania, gitarowego wyrobnictwa czy koncertowej rutyny. Dominowało zaangażowanie i feeling, a także wyciskanie wszystkiego, co się da ze starego programu (wspaniałe solo saksofonu, á la Kenny G. w *Otoczonym)*. Wersje angielskie nie przekonują, aczkolwiek brzmią lepiej niż ich płaskie radiowe odpowiedniki, może z wyjątkiem utworu *To nie była nasza wina*, noszącego angielski tytuł *Wait, Wait*, a zaśpiewanego z niezłą soulową pasją przez Krzysztofa i towarzyszących mu Lusię i Rafała O. Nowe utwory, *Naga i bosa* konstrukcją i nastrojem zbliżona do *Afryki* z tekstem o nieco „ciechowskiej" proweniencji czy *Tylko tobie*, formatem bliskie *Kochać inaczej*, wróżą prolongatę prosperity na co najmniej następny rok.

KUBA WOJEWÓDZKI



czyste, gęste brzmienie, co daje imponujący efekt. Przez 10 lat poznańska ekipa przeszła długą, krętą drogę z rzadka usianą różami i obecną muzyką w pełni zasłużyła na chóralne 100 lat odśpiewane w Spodku przez 7000 gardeł.

Własnego oblicza szuka też Wolf Spider nękany problemem wynikającym z braku odpowiedniego frontmana. Czy nowy wokalista sprosta wymaganiom śpiewania skomplikowanych podziałów – zobaczymy. W lepszej sytuacji wydaje się być coraz bardziej dojrzały Hammer, który z powodzeniem sięga już po klasykę (Grand Funk Railroad). Sporą sensację V Metalmanii okazał się występ nowego kwartetu Acid Drinkers, który zagrał przejrzysty, atrakcyjny thrash z bisem w postaci numeru grupy Kiss. Pasja i entuzjazm włożony w granie trafił do serc fanów i pod tym względem Acid Drinkers niewiele ustąpili gwieździe, czyli Kreatorowi. Tak Kreator, jak i poprzedzające go trio Protector, pokazali, co to jest solidne, niemieckie granie. Ponad 60 minut spotkania z Kreatorem, to soniczny atak, który jednak razi pewnym schematyzmem i prostotą.

Dobrze przygotowana (stoiska, zaplecze) i zorganizowana impreza z muzyką, którą jedni kochają za to, że inni jej nienawidzą.

KRYSTIAN BRONC

THE MIGHTY LEMON DROPS, We Are Going To Eat You
Londyn, Astoria, (?) 03.1990 r.

To był bardzo dziwny koncert. Trwał 1,5 godziny, a składał się właściwie z dwóch utworów w nieco tylko zmienionych aranżacjach. Pierwszy – popularny kilka lat temu przebój *Inside Out* był szybki, dynamiczny i wysłuchałem zdaje się około dziesięciu jego wersji, drugim okazała się przejmująca ballada *Where Will We Go From Heaven*, którą dane mi było usłyszeć z czterema różnymi tekstami. Obydwa kawałki były świetne i nie powiem ani nie dam nikomu powiedzieć o nich złego słowa, ale poświęcać im aż tyle czasu... nie, to chyba przesada.

Nie będzie natomiast przesadą jeśli nazwę grupę We Are Going To Eat You, która wystąpiła jako support, mieszanką wybuchową z natychmiastowym zapłonem. Siarczysty rock'n'roll z folkowymi smaczkami, świetna (zarówno wokalnie jak i wizualnie) wokalistka – to atuty, które sprawiają, że ich koncert już w pierwszych minutach stał się kapitalną zabawą. Myślę, że warto tę nazwę zapamiętać, bo oni chyba naprawdę zamierzają nas zjeść. A już na pewno nieźle w rock and rollowej zupie zamieszać.

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI





Sławni i swawolni

KONKURENCJA

6 lipca 1961 roku w liverpoolskich kioskach pojawiła się gazeta „Mersey Beat" – jej edytorem był Bill Harry – absolutny autorytet w sprawach życia muzycznego w mieście. Znał wszystkie zespoły, wszystkie kluby, pierwszy wiedział o zmianach personalnych i – zapytany – zawsze potrafił bezbłędnie odpowiedzieć na pytania rozpoczynające się od słów „kto", „gdzie", „kiedy", „z kim". Jednym słowem człowiek-encyklopedia liverpoolskiego beatu.

„Mersey Beat" odegrał wielką rolę w tworzeniu swoistego image'u portowego miasta i jego muzyki – był ośrodkiem integrującym całe środowisko rockowe. Co więcej, jego szef swego czasu dzielił z Lennonem wynajęty pokój na Gambier Terrace. Nic więc dziwnego, że gazeta poświęcała Beatlesom więcej miejsca niż jakiemukolwiek innemu zespołowi – a było ich w owym czasie, jak się ocenia, grubo ponad trzysta. Co więcej, Harry poprosił Johna – doskonale znając jego poczucie humoru i pociąg do absurdu – by pokrótce opisał historię nazwy The Beatles. I tak szczęśliwi nabywcy 5.000 egzemplarzy pierwszego numeru „Mersey Beat" mogli przeczytać: *Wielu ludzi zapytuje, co to są The Beatles. I dlaczego The Beatles? Och, Beatles – skąd pochodzi ta nazwa? A więc powiemy wam. Mieliśmy wizję – człowiek pojawił się na płonącej szarlotce i rzekł im: „Od tego dnia po wsze czasy jesteście The Beatles". „Dziękujemy ci, Panie", odrzekli oni, dziękując mu.*

W drugim numerze „Mersey Beat" pojawiła się obszerna relacja z pobytu Beatlesów w Hamburgu, z niej też czytelnicy dowiedzieli się o spotkaniu zespołu z Bertem Kaempfertem i istnieniu jego płyty. Ponieważ owa gazetka – do której często dostarczał swoje wesołe kawałki Lennon na kolumnę „Beatcomber" (parodia „Beachcomber" z „Daily Express") – doskonale się rozchodziła, także w sklepie NEMS prowadzonym przez Briana Epsteina, obala to mit, iż o istnieniu kwartetu jego przyszły menażer dowiedział się od klienta, pytającego o ów singel nagrany z Tony Sheridanem.

The Beatles byli więc faworyzowani na łamach środowiskowej i wpływowej „Mersey Beat" i, jak napisał disc-jockey z klubu The Cavern, Bob Wooler w swoim pierwszym artykule w wydaniu z dnia 31 sierpnia, są oni – *największym wydarzeniem, które eksplodowało na liverpoolskiej scenie rock'n'rollowej w ciągu ostatnich lat.*

★

Beatlesi nie byli jednak jedynymi wykonawcami w owym pionierskim okresie rodzenia się autonomicznego, brytyjskiego rocka. Jeszcze za czasów, gdy opiekował się nimi Allan Williams kwitła działalność klubowa, w której prym wiedli m.in. Ian And The Zodiacs, Kingsize Taylor And The Dominoes, Faron And The Flamingoes, Earl Preston And The TTs, Lee Curtis And The All-Stars, Dale Roberts And The Jaywalkers, Steve Day And The Drifters, The Remo Four, The Black Cats i The Four Jays. Najpoważniejszymi rywalami The Beatles – występujących już regularnie podczas przerw na lunch w The Cavern – byli jednak The Searchers, związani z klubem The Iron Door i jego właścicielem Jimmym Irelandem.

Kiedy rządy nad kwartetem, który miał już niebawem podbić świat, przejął

Brian Epstein, w jego stajni – oprócz The Beatles opatrzonych numerem jeden – znaleźli się niebawem Gerry And The Pacemakers, Billy Kramer And The Dakotas (owa grupa akompaniująca została w tajemnicy sprowadzona z Manchesteru), The Fourmost, Peter And Gordon, The Applejacks i Cilla Black (ex-szatniarka z The Cavern). Z wyjątkiem tych pierwszych, którzy na liście bestsellerów na pierwszej pozycji ulokowali utwór odrzucony przez Beatlesów, *How Do You Do It?* (nagrany, a jakże, pod okiem George'a Martina) i potrafili zadbać o własny repertuar, pozostali niejeden sukces zawdzięczali kompozycjom Lennona i McCartneya – bądź to gotowy, bądź specjalnie dla nich napisany. Ale tylko w jednym przypadku doszło do „zderzenia": utwór *Do You Want To Know A Secret?* – włączony do albumu *Please, Please Me* – był zarazem trzecim ogólnokrajowym hitem nr 1 z Liverpoolu w wersji singlowej Kramera.

W 1963 roku najsilniejszą obsadę rodem z Liverpoolu tworzyli Gerry And The Pacemakers, Swinging Blue Jeans (zespół o bardzo starym rodowodzie), no i The Searchers. The Beatles byli wszakże już poza wszelką konkurencją. Na błyskawiczny rozwój ich kariery miała też wpływ prasa – zawzięcie poszukująca tematu „pozytywnego". Jak trafnie zauważa Philip Norman w swej interesującej biografii *Shout! The True Story Of The Beatles* – cała czwórka okazała się nad wyraz wdzięcznym tematem do artykułów dla dziennikarzy, poszukujących tematów niekonwencjonalnych i rozmówców rujnujących wszelkie schematy rutynowych wywiadów.

A w 1963 roku tego właśnie było trzeba, bowiem – po ciężkiej zimie przełomu lat 1962–63 – Pan Bóg nie szczędził klęsk metropolii imperium „nad którym nie zachodzi słońce". Owo imperium rozpadało się; szpiegowsko-seksualna afera John Profumo (minister wojny) – Christine Keeler (luksusowa prostytutka i kochanka attaché d/s marynarki ambasady radzieckiej), nie schodziła z pierwszych stron gazet, obnażając korupcję konserwatywnego rządu Harolda Macmillana; z pociągu jadącego ze Szkocji do Londynu skradziono 2,5 miliona funtów; a na dodatek – kiedy zrobiło się cieplej – przekleństwem nadmorskich kurortów z Brighton na czele stały się regularne bitwy na plażach między gangami modsów i rockersów. Doprawdy, trudno było wówczas o lepszą odtrutkę niż The Beatles... Nie kto inny, lecz właśnie prasa wprowadziła w szeroki obieg termin beatlemania, a John, Paul, George i Ringo stali się – po raz pierwszy w historii rocka (jeśli nie liczyć Elvisa) – postaciami znanymi z imienia.

★

Pod koniec 1964 roku okazało się jednak, że Beatlesi mają nadzwyczaj poważnych rywali – londyński kwintet The Rolling Stones. Owszem, działający już od pewnego czasu, lecz dotąd nie zagrażający ich pozycji. Owo „dotąd", znaczyło dokładnie – przełom listopada i grudnia, kiedy na brytyjskiej liście bestsellerów ścięły się ostro dwa single: *I Feel Fine* i *Little Red Rooster*. Po raz pierwszy i ostatni, bowiem od tej chwili EMI (Parlophone i Decca) ustaliły nieformalnie, iż będą uzgadniać daty edycji płyt obu grup i owej umowy dżentelmeńskiej konsekwentnie dotrzymały. Do końca.

Co więcej, po raz pierwszy Beatlesi – a konkretnie Lennon i McCartney – znaleźli się w dziwnej sytuacji. Ich monopol jako spółki autorskiej doczekał się poważnego rywala w postaci tandemu Jagger-Richards. Prasa chętnie oba te zespoły rozstawiała według heglowskiej zasady teza-antyteza, ale trzecim elementem triady pozostaje synteza i właśnie te dwie grupy już w 1965 roku współtworzyły rockową wizytówkę Anglii. Fakt że właśnie Beatlesi, a nie Stonesi otrzymali z rąk Królowej M.B.E., (Medal Of British Empire), nie miał większego znaczenia niż symboliczne, wobec faktu, iż brytyjski rock stawał się międzynarodową potęgą i źródłem dochodów skarbu państwa większego niż jakikolwiek nękany przez suszę i szarańczę, zapomniany przez Boga i diabła skrawek ziemi w Afryce.

★

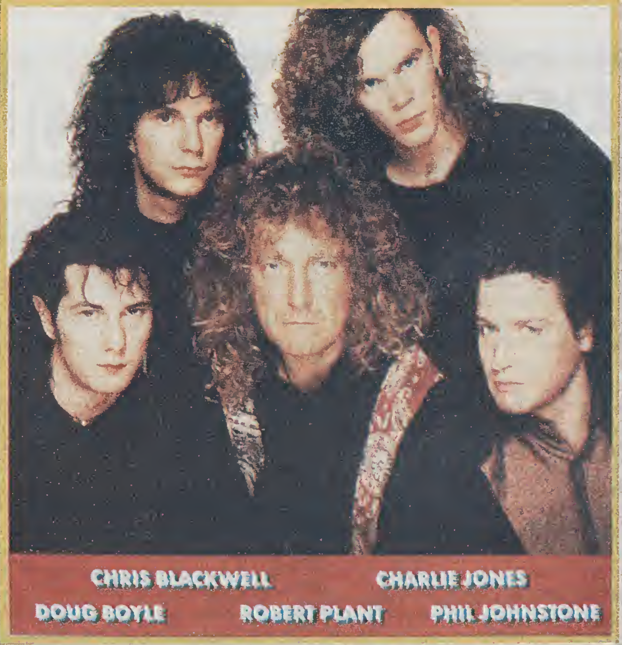
W 1965 roku o Liverpoolu w zasadzie już mało kto pamiętał. Nie liczył się. Większość zespołów stamtąd nie odegrała większej roli w historii rocka. Gerry And The Pacemakers i The Searchers tracili już popularność. The Hollies z Manchesteru – także, podobnie jak The Animals z Newcastle. Liczył się Londyn z The Rolling Stones, The Kinks, The Who, Small Faces, The Yardbirds i przybyszami w rodzaju Spencer Davis Group (Birmingham) czy niezbyt jeszcze popularny, ale otoczony kultem biały bluesman, John Mayall z Manchesteru, z którego płynnych formacji Bluesbreakers miały się wkrótce wyłonić zespoły w rodzaju Cream, Fleetwood Mac, Colosseum i Juicy Lucy. W przeszłość i zapomnienie odchodzili wykonawcy, którzy nie byli w stanie zapewnić sobie – we własnym zakresie – pełnego repertuaru i, po okresie zagłuszających niekompetencję wrzasków rozhisteryzowanych panienek, nie potrafili okazać się zawodowcami na scenie. Ludzie zaczęli słuchać – przestało im wystarczać upajanie się samym widokiem idoli...

Podczas bodaj drugiej wizyty w USA, po obowiązkowej audiencji u Króla Rock'N'Rolla, Beatlesi zażądali, by dostarczono im wszystkie (jakie się dotąd ukazały) płyty niejakiego Roberta Zimmermana, występującego pod pseudonimem Bob Dylan. I jeśli uważnie posłuchamy dwóch albumów z 1965 roku, *Help!* i *Rubber Soul*, bez trudu odnajdziemy między nimi różnicę. Amerykańskie monstrum – to samo, które spłodziło rock'n'roll – podrażnione przez Anglików – zaczęło budzić się do życia. Kiedy w San Francisco startowały grupy związane z hippiesowską komuną z Haight-Ashbury, Beatlesi zawiesili działalność koncertową. Przypadek?

JERZY A. RZEWUSKI

Wstrząsający Ringo





Zep i postzepiątka

ROBERT PLANT: RAZEM I OSOBNO

Przyglądam się fotografiom Roberta Planta w marcowym „Metal Hammer". Trzyma się dobrze; już jakiś czas temu stuknęła mu czterdziestka, lecz ciągle jest jednym z tych długowłosych „wiecznych młodzieńców", których pełno w rockowym światku.

I muzyka Led Zeppelin ma się dobrze. Muzyczne pomysły słynnej grupy ciągle pobrzmiewają we współczesnym heavy metalu. A poza tym Led Zep ze swą mistyczną otoczką i swym hipisowaniem jest wspaniałą inspiracją dla tych muzyków, którym chodzi „o coś więcej" w rocku; dla zespołów pokroju The Cult i The Mission.

Najnowsza płyta Roberta Planta to wydany w marcu longplay *Manic Nirvana*. W zachodnich pismach rockowych można trafić na opinię, że jest on bliższy Led Zeppelin niż poprzednie albumy tego wokalisty.

Wydaje mi się, że jest w tym sporo przesady; że niektórzy anglosascy dziennikarze ulegli obecnej atmosferze czekania na powrót „Zeppelina". Jedno nie ulega wątpliwości: są tu wystudiowane aluzje do Led Zep, a nie – jakaś kontynuacja. Plant zresztą jakby przekomarza się z tymi, którzy liczą na wskrzeszenie jego rockowej przeszłości: śpiewa tak jak kiedyś, ale naprawdę „zeppelinuje" dopiero w utworze odnoszącym się do czasów Woodstock *(Tie Dye On The Highway)*.

Trudno się nie oprzeć wrażeniu, że po kompromisowym, przyjemnie urozmaiconym i ułatwionym albumie *Now And Zen*, popełnił następny kompromis. Tym razem jakby stara się pogodzić obiegowe wzorce dzisiejszego, komercyjnego metalu z muzycznymi doświadczeniami swej solistycznej kariery. Jest tu miejsce na metalowe riffy gitarowe *(Hurting Kind)* i na „smyczkową" aranżację *(Anniversary)*; na modne dziś, potężne, niemal symfoniczne brzmienia *(Watching You)* i na brzmieniową bezpretensjonalność folku *(Liars Dance)*.

A więc znów „dla każdego coś miłego", choć niekoniecznie musi to być miłe dla fanów Led Zeppelin. *Manic Nirvana* ma niezłe recenzje, lecz także album *Now And Zen* był chwalony...

RAZEM. *Zawsze robiłem to, co chciałem* – zapewnia reportera „Metal Hammer". Dodaje też, że robi to, co uważa za *wartościowy wkład w muzykę*.

Każda z jego solowych płyt była dla niego szczególnym przeżyciem. Podobno wzruszył się do łez, gdy skończył nagrywać *Slow Dancer*, późniejszą perełkę muzyczną z jego debiutanckiego longplaya *Pictures At Eleven*. Nabrał wtedy pewności, że poradzi sobie bez Led Zeppelin. Nie tylko dał sobie radę, ale i okazał się artystyczną „niespokojną duszą"; starał się stworzyć własną odmianę ambitnej pop-music. Dziwną, bo nie odpowiadającą obiegowym wyobrażeniom o komercji. Na dodatek bardzo osobistą. Tak powstały płyty *The Principle Of Moments* i *Shake'N'Stirred*.

Opowiada, że *Principle Of Moments* tworzył w stanie depresji, będąc *wypalony emocjonalnie*. Także sesja nagraniowa następnego albumu stała się czymś w rodzaju terapii: *Myślę, że Shake'N'Stirred" było płytą nie do śmiechu. „Sixies And Sevens" naprawdę podsumowało moje ówczesne życie. Byłem wtedy bardzo samotny.*

A teraz na łamach „Metal Hammer" zwierza się: *Podczas, gdy „Principle Of Moments" i „Shake'N Stirred" były płytami mojego „ja", „Now And Zen" było końcem „ja" i początkiem „my"*. Zaraz dodaje, że ma na myśli swój zespół, który od 2 lat tworzą: Phil Johnstone (instrumenty klawiszowe), Doug Boyle (gitara) i Chris Blackwell (perkusja), a od niedawna uzupełnia Charlie Jones (gitara basowa, następca Phila Scragga). Są to stosunkowo młodzi muzycy, którzy swą pozycję dopiero zawdzięczają współpracy z Plantem. On sam zaś – jak wyjaśnia – zawdzięcza im jeszcze więcej: dopingują go do pracy i miewają świetne pomysły. Są najprawdziwszymi współtwórcami *Manic Nirvana*.

OSOBNO. W rozmowie Roberta Planta z wysłannikiem „Metal Hammer" wypływa, naturalnie, temat Led Zeppelin. Wokalista odcina się od posądzeń o korzystanie z „Zeppelinowej" koniunktury. Mówi: *Cóż, poprzednia płyta sprzedawała się nieźle, a niezbyt przypominała Zep*. Wymienia utwory z najnowszego albumu, które – jego zdaniem – brzmią zupełnie inaczej. Przypomina o własnych ambicjach: *Jestem muzykiem rozrywkowym, który chce mieć zaspokojone własne ego.*

Częścią obecnej mody na Led Zeppelin są uporczywe plotki na temat reaktywowania tej grupy; niewątpliwie podsycił je występ podczas rocznicowego koncertu Atlanticu, w składzie z synem Johna Bonhama – Jasonem. Bonham-junior ostatnio nieźle żegluje ze swym zespołem na fali popularności Led Zep, a publiczną tajemnicą jest, że Plant go nie cierpi.

Mówi: *Nie ma sposobu, żeby Led Zeppelin odrodził się. No i złamałoby to karierę Jasona, ha, ha...* Powtarza: *Nie ma mowy. Nigdy.*

Inna sprawa, że nadal ciepło mówi o Jimmym Page'u. I że słowo „nigdy" w rockowym świecie rzadko kiedy ma swe właściwe znaczenie.

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

4AD NA PROGU

Kiedy w styczniu 1980 roku ukazały się pierwsze cztery single inaugurujące działalność filii Beggars Banquet – 4AD (wtedy przelotnie nosiła ona nazwę Axis), nikt nie podejrzewał, iż stanie się ona jednym z filarów niezależnej sceny rockowej, nie tylko zresztą w Anglii. Trzy płyty z tej czwórki podpisali wykonawcy bez znaczenia (Bearz, Shox i The Fast Set), czwarty jednak okazał się pierwszym wielkim odkryciem Ivo Watts-Russella i jego ówczesnego wspólnika, Petera Kenta. Był to Bauhaus, a ów siedmiocalowy winylowy krążek zawierał utwór *Dark Entries*.

Dokładnie w tym miejscu skończyła się rola 4AD jako sondy do badania rynku przed wprowadzeniem jakiegoś wykonawcy do stajni macierzystej firmy. Bauhaus był właściwie pierwszym i ostatnim testowanym w ten sposób. Wtedy też Kent zdecydował się zostać menażerem grupy z Northampton i z czasem stanął na czele jeszcze jednej przybudówki Beggars Banquet – Situation 2. Na gospodarstwie pozostał sam Ivo.

W dekadę lat 90. 4AD wkracza z kontem nie obciążonym żadnymi poważnymi wpadkami, co – zważywszy kapryśny rynek „niezależny" – równa się przejściu przez kałużę w dziurawych butach bez zamoczenia sobie nóg. Sceptycy w tym miejscu bez słowa wskażą palcem na owo bóstwo nowicjuszy i amatorów, zwane Fartem; ktoś, kto jednak zna całą dyskografię 4AD doskonale wie, że mało która niezależna firma płytowa ma na koncie tak wiele świetnych odkryć, tak konsekwentnie dba o graficzną tożsamość swoich wydawnictw, tak skutecznie potrafi pogłaskać drzemiącego w każdym z nas snoba. Ivo okazał się także kimś więcej niż tylko dobrym, kompetentnym, obdarzonym intuicją szefem. Pozwolił sobie na kilka kroków daleko wykraczających poza podstawowy zakres swoich obowiązków: mam tutaj na myśli przede wszystkim powołanie do życia efemerycznego tworu This Mortal Coil, edycję dwóch płyt *Le Mystère Des Voix Bulgares*, zawierających bułgarską muzykę ludową, doprowadzenie do współpracy grup: Colourbox i AR Kane, w której efekcie powstał pierwszy wielki międzynarodowy przebój klubowy „made in England" – *Pump Up The Volume* wydany pod kryptonimem M.A.R.R.S.

W rezultacie tych poczynań i szczęśliwej ręki do odkrywania utalentowanych wykonawców Ivo sam stał się gwiazdą na firmamencie „niezależnych" – podobną pozycją nie może poszczycić się żaden inny szef firmy płytowej będącej w pełni na własnym rozrachunku, bodaj od czasu Jacka Holzmana i jego Elektry, która – zanim została wchłonięta przez koncern WEA, „dała" światu m.in. The Doors, Love, The Stooges i MC5, no i ECM Manfreda Eichera. Co więcej, już sam fakt debiutu w barwach 4AD staje się swoistym aktem nobilitacji dla nieznanego wykonawcy i gwarantuje mu z punktu zainteresowanie krytyków, promocję w prasie (pełnowymiarowy wywiad zamiast informacyjnej notki) i poważne traktowanie zarówno w recenzjach z koncertów, jak i płyt. Mogli się o tym przekonać ostatnio najdobitniej The Pale Saints i Lush.



4AD zmienia się, choć zwolennicy „twardej linii" chcieliby, aby tak nie było; aby tożsamość firmy, wyznaczona w latach 1983–86 przez muzykę grup pokroju Cocteau Twins, The Wolfgang Press, X-Mal Deutschland, Dead Can Dance, pierwszą edycję This Mortal Coil *(It'll End In Tears)*, no, może jeszcze Colourbox i Clan Of Xymox, została utrzymana. Nawet wbrew wszelkiej logice rozwoju rocka w latach osiemdziesiątych, kiedy właśnie około 1986 roku Raincoat Brigade – jak zwano przedstawicieli „mrocznego" nurtu rocka wywodzącego się od Bauhaus, The Birthday Party czy Siouxsie And The Banshees – musiała ustąpić pola gitarowemu rockowi, nawiązującemu wyraźnie do lat sześćdziesiątych. Wtedy właśnie w obrębie 4AD pojawił się pierwszy zwiastun owych przemian – Throwing Muses z Bostonu, po nich – ich krajanie, Pixies, wreszcie nowojorczyk Kurt Ralske, czyli Ultra Vivid Scene.

Tak jak niegdyś Ivo nie krył, iż najważniejszym dlań zespołem brytyjskim drugiej połowy lat 70. był Wire (przez jakiś czas 4AD było przystanią dla występującego solo Colina Newmana i współpracujących z sobą w różnych konfiguracjach Gordona Lewisa i Bruce'a Gilberta), tak teraz nie wstydził się przyznać, iż odpowiada mu wiele z tego, co wnlosła do rocka formacja The Jesus And Mary Chain. Ultra Vivid Scene – funkcjonujący według podobnej metody – jest zresztą tego najlepszym dowodem, po-

SZCZĘŚLIWA

O mitach narosłych wokół 4AD, sukcesie i nowej płycie This Mortal Coil z IVO WATTS-RUSSELEM rozmawia Arkadiusz Pragłowski

— Ludzie mówią, że twój styl rządzenia w 4AD jest rodzajem dyktatury. Co ty na to?

Co ty na to?

– *Pieprzą... Nie ma żadnej dyktatury. Prawdę mówiąc, czasem, by się przydała.*

– Ale prawdą jest, że lubisz wpływać na decyzje muzyków – sugerujesz dobór materiału na płyty, a nawet pewne rozwiązania brzmieniowe.

– *Tego rodzaju sugestie są na porządku dziennym we wszystkich wytwórniach płytowych. To normalne. Każdy, kto wie cokolwiek o mojej firmie, wie, że to, co się tu ukazuje, jest odzwierciedleniem moich muzycznych fascynacji. Nie zamierzam się tego wstydzić.*

– Inną powszechną opinią na temat 4AD jest mniemanie, iż panuje w niej przyjacielska, wręcz rodzinna, atmosfera...

– *Coś takiego miało miejsce w okolicach 1984 roku. Wszyscy muzycy interesowali się tym,co się dzieje, pomagali sobie nawzajem. Właściwie każda ukazująca się wtedy płyta była efektem wspólnej pracy związanych z 4AD wykonawców. Nie mogło tak jednak trwać wiecznie. Gdy pomyślimy rozsądnie, to taki rodzaj „kooperacji" w kreacji artystycznej jest czymś absolutnie wyjątkowym i niemożliwym do utrzymania na dłuższą metę. Nigdzie się to dotąd nie udało i nie istnieje to również w 4AD. Oczywiście, ludzie znają się, przyjaźnią między sobą, ale nie ma mowy o żadnej „artystycznej rodzinie".*

– Podobno przygotowujesz kolejną edycję This Mortal Coil. Mógłbyś opowiedzieć, jak rodzi się taki projekt?

– *Hmm... to taka romantyczna historia... Nie było właściwie żadnego świadomego planu. To nieprawda, że ja długo, długo siedziałem i myślałem, a potem powiedziałem komuś: zrobimy tak i tak. Sama idea takiego przedsięwzięcia tkwiła we mnie od bardzo dawna, ale konkretny pomysł przyszedł w czasie koncertu Modern English, gdy usłyszałem „Gathering Dust" i „16 Days" – dwie stare piosenki połączone w jedną całość. To było w Ameryce. Stałem na widowni i był to jeden z najważniejszych momentów w moim życiu. Spytałem potem muzyków, czy zamierzają nagrać to na następną płytę. Nie chcieli. Zacząłem więc przekonywać ludzi do zrealizowania tych i innych piosenek w mieszanym, eksperymentalnym składzie – pod wymyśloną przeze mnie nazwą. W ten sposób przypadek pomógł mi w realizacji marzenia, które inaczej nigdy może nie nabrałoby realnego kształtu.*

– Ty byłeś człowiekiem, który wybrał materiał na płyty TMC?

– *Tak. Ja odgrzebałem te nagrania, namówiłem muzyków i starałem się wytłumaczyć im, jak mniej więcej miałoby to wyglądać.*

– Łatwo było zebrać ich wszystkich razem?

– *Cała zabawa polegała na tym, że oni nigdy nie byli razem.*

– Niezwykły sposób pracy...

– *W moim przypadku – jedyny możliwy. Nie jestem muzykiem i nie potrafię niczego zagrać ani tym bardziej zaśpiewać. Mogę najwyżej starać się wytłumaczyć o co mi chodzi. Łatwiej jest tłumaczyć każdemu z osobna. Przypuszczam, że gdybym zebrał wszystkich razem i musiał wyjaśnić wszystko hurtem, nic by z tego nie wyszło. Wykorzystałem indywidualne zdolności każdego z muzyków i najciekawsze sprawy powstały w efekcie zaskakujących połączeń indywidualności.*

A poza tym pomyśl: niekiedy w studiu znajdzie się czterech muzyków będących silnymi indywidualnościami i zrobienie spójnej całości staje się dla nich wielkim problemem. A co w takim razie powiedzieć o zgromadzeniu w studiu 20 artystów?

– Opowiedz coś o najnowszej edycji TMC.

– *To krok naprzód w porównaniu z „Filigree And Shadow"...*

– Jak długo można robić płyty według tej samej recepty?

– *Jeśli są to dobre płyty – długo.*

W tej chwili jeszcze nie zdecydowałem, co ostatecznie zostanie umieszczone na płycie, ale znajdą się tam na pewno utwory The Byrds, Spirit (bardzo ciekawa amerykańska grupa z lat 60.), Neila Younga, Chrisa Bella, Petera Nootena znanego z Xymox, Rain Parade, Rodni Croll (wykonawca z kręgu country and western), The Boys Of The Next Door (pierwotna nazwa The Birthday Party), Departments (australijska grupa sprzed kilku lat) i Margaret O'Hary.

TEKSTY

Początkowo planowaliśmy umieścić w tej rubryce wyłącznie teksty utworów Depeche Mode z najnowszego albumu *Violator*. Ponieważ jednak grupa obchodzi właśnie dziesięciolecie działalności, zdecydowaliśmy się na wybór kilku najciekawszych tekstów z całej jej dyskografii, przede wszystkim uwzględniając te najnowsze.

***ENJOY THE SILENCE – Ciesz się milczeniem* (1990, LP *VIOLATOR*)**

Słowa gwałcą ciszę
Z hukiem wstrząsają moim małym światem
Sprawiają mi ból, przeszywają mnie
Czy nie rozumiesz tego, moja mała?
Wszystko czego chciałem, czego pragnąłem
Znajduje się w moich ramionach
Słowa nie są potrzebne
One tylko ranią
Przysięgi są po to, by je łamać
Uczucia są potężne, a słowa trywialne
Przyjemności pozostają, pozostaje też ból
Słowa są bez znaczenia
Łatwo je zapomnieć
Ciesz się milczeniem

***NEVER LET ME DOWN AGAIN – Nie zawiedź mnie nigdy więcej* (1987, LP *MUSIC FOR THE MASSES*)**

Wybieram się w podróż z najlepszym przyjacielem
W nadziei, że nie zawiedzie mnie nigdy więcej
On wie, dokąd mnie zabiera
Zabiera mnie tam, gdzie chcę być
Udaję się w podróż z najlepszym przyjacielem
Fruniemy wysoko obserwując świat
Nie chcę wylądować
Nie chcę znowu postawić mych stóp na ziemi
Wybieram się w podróż z najlepszym przyjacielem
W nadziei, że nie zawiedzie mnie nigdy więcej
On obiecuje mi bezpieczeństwo
Jak długo pamiętać będę, kto tu jest szefem
Żyję nadzieją, że nie zawiedzie mnie nigdy więcej
Widzę gwiazdy, świecą jasno
Dziś wieczorem wszystko będzie dobrze
Widzę gwiazdy...

***WORLD IM MY EYES – Świat w moich oczach* (1990, LP *VIOLATOR*)**

Zabiorę cię w podróż dookoła świata i z powrotem
Nie będziesz musiała się ruszać
Po prostu siedź tutaj
Niech twój umysł rozpocznie spacer
Gdy moje ciało przemówi
Pokażę ci świat w moich oczach
Zabiorę cię na najwyższą górę
I na dno najgłębszego morza
Nie będzie nam potrzebna mapa, uwierz mi
Teraz moje ciało jest w ruchu
A dłonie łagodzą cierpienie
Pokażę ci świat w moich oczach
To naprawdę wszystko
I nic więcej ponad to, co czujesz teraz
Wsiądziemy razem na statek i odbędziemy długą podróż
Twe usta przy moich
Zwiedzimy wszystkie wyspy na oceanie
A niebo będzie w transie
Pokażę ci świat w moich oczach
To naprawdę wszystko
I nic więcej ponad to, czego teraz dotykasz

***THE SUN AND THE RAINFALL – Słońce świeci, deszcz pada* (1982, LP *A BROKEN FRAME*)**

Ktoś woła, coś spadnie
I stłucze się na podłodze
Nie czytając scenariusza wiem co nastąpi
Widziałem to już kiedyś – i to mnie boli
Wszystko musi się zmienić
Musimy wszystko uporządkować na nowo
Lub też przyjdzie nam się poddać
Chcę tylko powiedzieć
Że nie ma sensu powtarzać tej gry od początku
Lubię cię najbardziej
Przyciągasz moją uwagę, jesteś jedyna
Gdyby nie ty, cokolwiek bym zrobił
Byłoby równie niespodziewane
Jak deszcz padający w słoneczny dzień

***HALO – Aureola* (1990, LP *VIOLATOR*)**

Nosisz w sobie winę niczym kajdany na nogach
Niczym odwróconą aureolę
Wyczuwam twój dyskomfort
A tobie jest jeszcze gorzej
W twym sercu ból i pragnienie
Bolesna potrzeba wolności
Czy nie widzisz luksusów miłości?
Są tutaj dla ciebie i dla mnie
A kiedy runą nasze światy
Kiedy zawalą się mury
Choć być może nie zasłużymy na to
Będzie to bez znaczenia
Zabierz te łańcuchy
Nie wykrzywiaj tragicznie swych ust
Tylko przyjdź w moje ramiona

***BLASPHEMOUS RUMOURS – Bluźniercze plotki* (1984, LP *SOME GREAT REWARD*)**

Szesnastolatka, na którą czekało całe życie
Podcięła sobie żyły, gdyż miała dość
Jednak uratowano ją
Dzięki Bogu za odrobinę miłosierdzia
Walcząc ze łzami, jej matka czyta pozostawiony list
Oczami wyobraźni widzi już szesnaście świec
Bierze winę na siebie, zawsze tak jest
Klęka i modli się
Osiemnastolatka zapałała miłością do świata
Znalazła nowe życie w Jezusie
Potrącona przez samochód
Skończyła na reanimacji
Gdy umierała tego letniego dnia
Śpiew ptaków rozbrzmiewał pod słonecznym niebem
A potem spadł deszcz
I jeszcze jedna łza
Spłynęła z oka jej matki
Nie zamierzam wywoływać bluźnierczych plotek
Uważam jednak, że Bóg ma niezdrowe poczucie humoru
A kiedy umrę, na pewno będzie się śmiał

Tłumaczenie
TOMASZ BEKSIŃSKI









VIDEO DLA MAS

Ważnym uzupełnieniem dyskografii Depeche Mode są cztery oficjalnie wydane kasety wideo, zawierające teledyski oraz sfilmowane koncerty zespołu. W latach 80., kiedy obraz stał się nieodłącznym dodatkiem do muzyki (ba, nawet czasami bywało odwrotnie!), prawie każdy liczący się wykonawca poczuł obowiązek oddania w ręce swoich wielbicieli kilka filmów. Najczęściej ukazywały się one jednocześnie z nowym albumem lub też podczas dłuższych przerw w działalności grupy – aby o niej nie zapomniano. Dorobek Depeche Mode w tej dziedzinie jest w sumie dosyć skromny – na szczęście, gdyż zespół ten nie może się pochwalić wieloma interesującymi wideoclipami, niestety...

Some Great Videos zawiera przegląd teledysków z pierwszego pięciolecia działalności grupy, podsumowane jesienią 1985 roku albumem *The Singles 1981–85*. Kręcone były bez wyobraźni, jakby z konieczności; gdyż żaden singel nie miał większych szans, jeśli nie towarzyszyła mu wersja filmowa lansowana do znudzenia w telewizji. W okresie, gdy Depeche Mode powoli dojrzewał i rozwijał się po zbawiennym odejściu disco-hermafrodyty Vince'a Clarke'a, Martin Gore koncentrował się wyraźnie na tworzeniu muzyki, a sprawę video uważał za mniej istotną. Toteż większość filmików ilustrujących najbardziej znane przeboje Depeche Mode z tego okresu razi infantylnością, monotonią, brakiem wyobraźni i koncepcji. David Gahan nieustannie podryguje jakby go coś swędziało. Robi to z jednakowym „wdziękiem" w każdej scenerii i w każdym utworze (nie wierzę, że nie stać go na nic innego, gdyż o wiele bardziej ruchliwy okazuje się na scenie). Poza tym recepta na clip, w którym muzycy udają, że grają i śpiewają w najmniej ku temu sprzyjających okolicznościach zawsze wydawała mi się, za przeproszeniem, kretyńska. Trudno jednak winić o to sam zespół. Gdy chłopcy ostatecznie stanęli na własnych nogach i poczuli się pewnie, a także przejęli ścisłą kontrolę nad własną produkcją wideo, poczęli realizować znacznie ciekawsze teledyski (vie *Strange* z 1988 roku).

Podobnie rzecz się ma z dwiema kasetami koncertowymi – *Live In Hamburg* i *101*. O ile pierwsza stanowi badzo ciekawy zapis występu, na którym przez 80 minut można posłuchać i pooglądać zespół w akcji, o tyle *101* jest przerażająco męczącym dokumentem, na dodatek poszatkowanym na kawałki: fragmenty występu przeplatane są idiotycznymi wywiadami z amerykańskimi fanami grupy, który dostąpili zaszczytu towarzyszenia Depeche Mode w ostatnim odcinku tournée. Wybrani spośród kilkudziesięciu kandydatów, jeździli „wesołym autobusem" w ślad za swoimi idolami. Nie przypuszczam, aby nawet najbardziej zajadłych zwolenników kwartetu interesowały wynurzenia ich amerykańskich kolegów na temat sztuki, muzyki, mody itd., a już tym bardziej pijackie przechwałki.

Podczas gdy podwójny album*101* jest świetnym zbiorem wielu doskonałych i najlepiej znanych utworów Depeche Mode, których słuchać można z dużą satysfakcją – film po prostu irytuje. Chciałoby się pooglądać wspaniałe światła, posłuchać lubianej muzyki, zobaczyć muzyków na scenie i poczuć się niemalże obecnym na sali... Tymczasem widz jest co chwila brutalnie wyrywany z muzycznej idylli i częstowany widokiem rozentuzjazmowanych nastolatów i ich paplaniną. Zapewne uczestnicy niecodziennej wycieczki trzymają swoje egzemplarze kasety *101* na postumentach przykrytych czerwonym suknem – i trudno im się dziwić, gdyż dla nich jest to niepowtarzalna pamiątka. Dla innych jednak na pewo nie. Gdyby krótkie fragmenty rozmów z członkami zespołu, migawki z prób i przebieralni oraz przygotowania do koncertu zebrać na początku lub na końcu filmu *101*, stanowiłby interesujące uzupełnienie i wprowadzałby widza w atmosferę panującą za kulisami. Jednak wymieszane z muzyką i scenkami z „wesołego autobusu" i pokoi hotelowych nie mają żadnej większej wartości. Całość trwa prawie dwie godziny i zawiera zaledwie godzinę muzyki. Groza!

Reasumując: warto polecić przede wszystkim *Strange* – wspaniały, czarno-biały półgodzinny minifilm składający się z pięciu inteligentnie zmontowanych i zrealizowanych clipów (reżyserem całości był Anton Corbijn) oraz *Live In Hamburg*. Szczególnie ta druga kaseta powinna być bliska sercom uczestników koncertu Depeche Mode na Torwarze w lipcu 1985 roku: zespół prezentował u nas ten sam program.

TOMASZ BEKSIŃSKI

SOME GREAT VIDEOS (1985)
Everything Counts; Love In Itself; Just Can't Get Enough; People Are People; Master And Servant; Blasphemous Rumours; Somebody; Shake The Desease; It's Called A Heart; Photographic.

LIVE IN HAMBURG (1985, reżyser: Clive Richardson)
Something To Do; Two Minute Warning; If You Want; People Are People; Leave In Silence; New Life; Shame; Somebody; Lie To Me; Blasphemous Rumours; Told You So; Master And Servant; Photographic; Everything Counts; See You; Shout; Just Can't Get Enough.

STRANGE (1988, reżyser: Anton Corbijn)
A Question Of Time; Strangelove; Never Let Me Down Again; Behind The Wheel; Pimpf.

101 (1989, reżyseria: D.A. Pennebaker, Chris Hegedus, Dave Dawkins)
Pimpf; Master And Servant; Things You Said; Blasphemous Rumours; Black Celebration; Stripped; People Are People; Nothing; Shake The Disease; A Question Of Time; Behind The Wheel; Everything Counts; Just Can't Get Enough; Nevet Let Me Down Again.

HM w

EXCLUSIVE



IRON MAIDEN

„JANICK ŻYJE I ODDYCHA HEAVY METALEM..."

IDEAŁ IRON MAIDEN ?

Tyle było w metalowym światku plotek na temat odejścia **Bruce'a Dickinsona** z Iron Maiden, a w końcu odszedł **Adrian Smith.** Tak więc jego longplay *Silver And Gold* – nagrany z własną grupą A.S.a.P. – okazał się przygrywką do rozstania z Maiden. Mimo iż jeszcze w lutym nie kto inny, a właśnie Smith zapewniał dziennikarzy, że Iron nie grożą żadne wstrząsy; że kwintet w doskonałej komitywie zaczyna pracę nad nowym albumem.

Ale do konfliktu doszło. Po „przyjacielskich dyskusjach" – jak to podano prasie – gitarzysta opuścił zespół. Towarzyszył temu komunikat, że *zamierza w 100 procentach poświęcić się* swemu A.S.a.P. i wkrótce zrealizować z tą grupą następny longplay. Podobno Smithowi nie odpowiadał kierunek, w którym chcieli podążyć jego koledzy z Maiden; zdecydowani tym razem na bardzo ostry rock. Natomiast styl zaprezentowany na *Silver And Gold* – jak wynika ze wspomnianego komunikatu – doskonale przystaje do obecnych upodobań gitarzysty.

Jego miejsce w Iron Maiden zajął **Janick Gers.** Muzyk ten po raz pierwszy dał się poznać szerszej publiczności w początku lat 80. Występował wówczas w White Spirit. Później m.in. był związany z grupą Iana Gillana. Ostatnio nagrywał z Fishem i... z Brucem Dickinsonem, stał się jednym ze współtwórców solowego longplaya wokalisty Maiden.

Steve Harris – jak wiadomo, szef Iron Maiden – jest zadowolony albo robi dobrą minę do złej gry. W każdym razie powiedział wysłannikowi „Metal Hammer": *Kiedy Adrian odszedł spotkaliśmy się, żeby pomyśleć nad zastępstwem i było dla wszystkich jasne, kogo powinniśmy wybrać. Wszyscy znaliśmy Janicka od lat i bardzo nam odpowiadał. Jest wyśmienitym gitarzystą, żyje i oddycha heavy metalem. I zawsze był wielkim zwolennikiem muzyki Maiden.*

Na koniec roku zaplanowane jest wydanie – dopiero powstającego – longplaya. Wtedy też rozpocznie się promocyjne tournée. Ale wcześniej Janick zagra w grupie Bruce'a Dickinsona, gdy ten będzie promował solowy album.

„Doro nie oszczędzała się:"

PRAWDA O DORO

Gene Simmons, wielki kobieciarz, a poza tym basista **Kiss,** lansuje swą kolejną podopieczną. Tym razem nie chodzi o kociaka, jakich w zasobnej Ameryce wiele. Nie jest to panienka z rodzaju tych, z którymi Mistrz fotografuje się ubrany w podkoszulkę z napisem: *Nauczyciel seksu – pierwsza lekcja za darmo.* Chodzi o pierwszą damę niemieckiego heavy metal – o ile słowa „dama" i „heavy metal" można ze sobą zestawić. Chodzi o filigranową i umundurowaną w skórzaną kurtkę **Doro,** kiedyś wokalistkę Warlock.

Doceniona w Europie, próbuje ostatnio zdobyć sobie dobrą pozycję na rynku USA. Płyta nagrana w jednym ze studiów Los Angeles pod okiem Gene Simmonsa ma przeważyć szalę na jej korzyść. Podobno w czasie tej sesji Doro śpiewała lepiej niż kiedykolwiek i trudno się temu dziwić: po pierwsze – od lat marzyła o takiej współpracy, już jako dziecko była fanką Kiss, a po drugie – bardzo podobało się jej Zachodnie Wybrzeże. Jak opowiada: *ludzie, których spotyka się tu są bardzo ekscytujący, wydaje się, że ciągle nad czymś pracują.*

A Doro naprawdę popracowała sobie, nie oszczędzała się: *jednego dnia śpiewałam non stop 12 godzin. Kiedy wróciłam do hotelu, zasypiałam na stojąco. Byłam tak zmęczona, ale najważniejsze było dla mnie, żeby zrobić wszystko, jak należy.*

Sprawca szalonych zrywów Doro, Gene Simmons, niezbyt ma ochotę firmować płytę jako producent. Tłumaczy przekornie, iż zależy mu na tym, aby muzyka broniła się sama... Z Doro poznał się w zeszłym roku, w czasie jednego z koncertów Monsters Of Rock. Miłe to musiało być spotkanie, skoro nie tylko nadzorował przez kilka pierwszych miesięcy tego roku powstawanie jej logplaya, ale też skomponował dla niej cztery utwory. Inna sprawa, że mała Doro miała dużą przynętę muzyczną: chodziło jej o coś podobnego do wczesnych albumów Kiss.

Czy reszta Amerykanów da się na to złapać, przekonamy się wkrótce. A Simmons zapewnia, że *Doro otworzyła swą duszę, swe serce i świat może zobaczyć, kim naprawdę jest.*

DORO PESCH





SACRED REICH

RZESZA I WSCHODNIA EUROPA

Grupa **Sacred Reich** pochodzi z Phoenix, w Arizonie. Mają tam niezłą scenę metalową, choć miasto – jak na amerykańskie standardy – niewielkie, około 700 tys. dusz. Phoenix uszczęśliwiło ostatnio wielbicieli HM zespołami **Flotsam And Jetsam** i **Atrophy.** Teraz Sacred Reich wspina się na rockowe szczyty; po drodze zespół z powodzeniem zahaczył o Holandię i RFN. Właśnie wydany drugi longplay SR – *The American Way* – dobrze rokuje grupie, która naraża się nie tylko dość prowokacyjną nazwą *(Święta Rzesza),* ale też skłonnością do politykowania. W tych tak bardzo upolitycznionych czasach warto chyba dowiedzieć się, o co właściwie chodzi grupie z Phoenix; tym bardziej że i nas mają na oku.

Phil Rind, gitara basowa Sacred Reich: *Piosenka „The American Way" ma proste przesłanie: uporaj się ze swoimi kłopotami, zanim wetkniesz nos w cudze sprawy. Zmienianie czegokolwiek trzeba zacząć od siebie: myśl o swoich sprawach. Oczywiście, chodziło nam też o politykę. My, Amerykanie, mamy szczególny talent do wplątywania się w coś, co nas nie dotyczy, za granicą. Choć mamy dość problemów u siebie... Zawsze interesowała mnie polityka i byłem na tyle naiwny, aby myśleć, że jednostka może tu coś zmienić. Teraz zdałem sobie sprawę, jak parszywym interesem jest polityka. Po prostu dorosłem i zdecydowałem, że nie chcę być nigdy prezydentem – jak marzyło mi się kilka lat temu... To, co obecnie dzieje się we wschodniej Europie, tylko mnie w tym utwierdziło. Pojedynczy człowiek nie może zmienić systemu. Dopiero gdy zbierze się dość ludzi myślących tak samo i chcących tego samego, rządy nie mogą nic innego – tylko zmienić się odpowiednio. Dzięki naszym mediom każdego dnia możemy śledzić, co dzieje się we wschodniej Europie i jestem pewien, że tamtejsze galopujące przemiany będą miały wpływ na życie nasze i naszych dzieci.*

I „HM w MM" nie ma co do tego wątpliwości, choć zajmuje się raczej muzyką niż polityką.

NAJBARDZIEJ EKSCYTUJĄCY ZESPÓŁ LAT 90. !!!

Tak reklamowani są Quireboys, podopieczni Sharon Osbourne, którzy legitymują się albumem *A Bit of What You Fancy*, przebojem *Seven O'Clock* i sympatią metalowej publiczności. Niektórzy recenzenci nazywają tę grupę *nowymi The Faces.* Ale „HM w MM" nie przypomina sobie, aby któryś z muzyków The Faces miał w prasie takie zdjęcia jak to, przedstawiające wokalistę Quireboys, Spike'a...

QUIREBOYS



LEMMY I KOMUNIZM

Czasy mamy takie, że gdy reporter „Metal Hammer" spotyka się z Lemmy'm, to rozmawiają głównie o polityce. Ponieważ Lemmy to Motorhead, a Motorhead to grupa zaliczana przez niektórych do prekursorów thrashu, zaś przez wszystkich – do rock'n'rollowych autentyków, więc chyba warto zacytować co nieco z tej rozmowy...

Od dawna wiadomo, że Lemmy interesuje się historią II wojny światowej. Teraz okazuje się, że leży mu na sercu to, co nastąpiło po wojnie. Planowane zjednoczenie Niemiec budzi jego niepokój. Być może nie wchodzi tu w grę niemiecka fobia, a tylko logika: *Są również te pozostałe części jak Prusy Wschodnie, które teraz należą do innych krajów. Czy Niemcy nie będą chcieli tych terenów z powrotem?*

Jak się okazuje, Lemmy zgadza się z poglądem Keitha Richardsa (Rolling Stones, bądź co bądź...), że rock'n'roll miał swój udział w rewolucji, która nastąpiła ostatnio w krajach naszej części Europy. Mówi: *Rock'n'roll jest jednym z najważniejszych przejawów kapitalistycznej wolności. Swobody założenia zespołu, słuchania go, zapuszczania długich włosów i ubierania się, jak się chce... Wolności polegającej na tym, że można robić dokładnie to, co się chce – nawet jeśli jest to przeciw obowiązującym konwencjom i ideologiom. Komunistyczny świat nigdy nie miał żadnej z tych swobód, zawsze je ograniczał... Nawet kontrolne organy najsurowszych dyktatur nie mogły uchronić kraju przed rock'n'rollem i utrzymać młodzież z dala od niego...*

Nie można porównywać rock'n'rolla do popu, do narkotyku, do niczego. Rock'n'roll ciągle jest buntem, skierowanym przeciw establishmentowi na swój dziki i uczciwy sposób – kontynuuje lider Motorhead, a „HM w MM" cytuje za „Metal Hammer".

Bez komentarza.



OPIŁKI

● **Saxon** ma ostatnio nie tylko koncertowy longplay *Rock'n'roll Gypsys,* ale też nadzieję na odzyskanie pozycji w czołówce. Kto wie, czy grupa temu podoła... Mówi wokalista **Biff Byford:** *Po prostu z początku trafiło nam się za wiele i za szybko. Nie potrafiliśmy właściwie spojrzeć na pewne sprawy. Byliśmy bardzo naiwni i – mówiąc szczerze – nadal tacy jesteśmy...* ● Thrashowy **Sodom** wszedł na zwykłe listy przebojów w RFN ze swym albumem *Agent Orange.* **Angelripper:** *Może to dlatego, że nie zmieniliśmy się zbytnio przez ostatnie kilka lat i fani nas za to szanują...* ● Brytyjczycy z **Thunder** zebrali w metalowej prasie pochwały za swój longplay *Backstreet Symphony.* I tak grupa zapadła na chorobę zwącą się „rock lat 60." – nagrała *Gimmie Sone Lovin',* przebój **Spencer Davis Group** sprzed mniej więcej ćwierćwiecza ● **The Cult** zapowiada, że następny longplay, który ma ukazać się jeszcze w tym roku, będzie czymś pośrednim między *Electric* a *Sonic Temple.* Czyli coś, co także powinno spodobać się metalowej publiczności. A jeśli już o The Cult mowa: w trakcie koncetrtu w Dayton, stan Ohio, miał miejsce przykry incydent. Ian Astbury zaprotestował, gdy zobaczył, jak służba porządkowa bije Bogu ducha winnego słuchacza i... sam oberwał. W związku z tym zespół wydał oświadczenie, w którym potępia jakąkolwiek przemoc w trakcie rockowych imprez. Eksgitarzysta Ozzy'ego, **Jake E. Lee** i jego grupa **Badlands** przeżywają chwilowe trudności. Odszedł – podobno w przyjaznej atmosferze – perkusista **Eric Singer** ● **Circus Of Power,** bluesowo-metalowy zespół z Nowego Jorku, bardzo jest zadowolony ze swego najnowszego albumu *Vices. Myślę, że dojrzeliśmy jako kompozytorzy* – mówi gitarzysta **Gary Sunshine** – *Mieliśmy dużo materiału i musieliśmy walczyć ze sobą, co wybrać* ● Niedawno **Dan Reed Network** zawitał do Europy jako dodatek do Bon Jovi, a teraz ma już niemal gwiazdorski status i szykuje się do ponownego odwiedzenia Starego Kontynentu. Dan Reed: *Od chwili powrotu do Stanów dostaliśmy tak dużo listów od zachwyconych słuchaczy, że zdecydowaliśmy się wrócić i jeszcze zagrać.* Grupa szykuje też kolejny longplay z poświęconą Lennonowi piosenką *Sing To Me.* Już wszystko jest możliwe w metalu... ● **Lizzy Borden** próbuje zapewnić sobie dobrą pozycję na europejskim rynku: ruszył w trasę z zespołem, promując swój zeszłoroczny album *Master Of Disguise* + W związku z 19 rocznicą śmierci **Bona Scotta** w rockowej prasie pojawiły się wspominki na jego temat.

GITARZYSTA KOSMITA

JOE SATRIANI

Kiedy mówię – doskonałość, to mam na myśli tylko jednego człowieka – Joe Satrianiego. Jego wiedza jest ogromna, jego technika niepojęta, a talent niewyczerpany. Nieważne czy gra jazz, blues lub heavy metal, on zawsze będzie oryginalny, precyzyjny i tak przekięcie nieosiągalny! Chociaż nauczył mnie wszystkiego co umiał, mam świadomość, że nigdy nie będę tak dobry jak on. Kiedy przerobisz wszystkich gitarzystów od Hendrixa do dzisiaj, będziesz dopiero w połowie drogi do Joe Satrianiego!

(Steve Vai)

Czy istnieje gitarzysta lepszy od Hendrixa, Claptona, Eddy'ego i Beca razem wziętych? Trudno opierać się tu na własnych sądach, ale można cytować innych. Bardzo proszę, Kirk Hammet (Metallica): *Wszystko co wiem o gitarze zawdzięczam Satrianiemu*, Larry Lalonde (Possessed): *Nic bym nie znaczył bez pomocy najlepszego gitarzysty świata*, Steve Lukather (Toto): *Jeżeli jestem najlepszy między najlepszymi, to Joe Satriani jest Bogiem!* Wystarczy? Ponieważ dyletanci nie powinni zabierać głosu w sprawach, na których się nie znają, należy oddać głos mistrzowi: Panie i panowie mówi czarodziej gitary – JOE SATRIANI!

Wszystko, co osiągnąłem zawdzięczam wrodzonemu szaleństwu. Urodziłem się w Ameryce, czyli muszę być zwariowany. Dziad i babka byli Włochami, znaczy jestem ciekawski i wszędzie wpycham nos. Muzyką zacząłem się interesować w wieku 10 lat, a edukację rozpocząłem od perkusji. Następnie przesiadłem się na fortepian, ale zgłębienie jego tajemnic trwało znacznie dłużej. Miałem szczęście, że moim nauczycielem był Murzyn, w którego żyłach pulsował rytm. Potem odkryłem gitarę i zakochałem się w niej do postradania zmysłów. Ona jest najlepszym i najładniejszym instrumentem. Równocześnie z nauką gry na niej zmagałem się z basem. Nie stwarzał mi on problemów, lecz gitary wciąż nie zgłębiłem do końca.

Na Akademii Muzycznej można się wiele nauczyć, ale jednocześnie można stać się niewolnikiem określonego systemu wartości. Żaden z moich profesorów nie pozwalał mi na eksperymenty brzmieniowe, co znacznie opóźniało mój rozwój. Jazz był formą muzyczną, która wówczas idealnie mi odpowiadała, jednak wszyscy wokół mnie uparcie trzymali się starych reguł i nikt nie chciał spróbować czegoś nowego. W końcu zacząłem się dusić i nie pozostało mi nic innego, jak spakować gitarę i odejść.

Między 1979, a 1984 r. grałem w popowym zespoliku The Squares. Zdobyliśmy lokalną publiczność, a ja dorabiałem jako muzyk sesyjny. Moją rolą było zastępowanie w nagraniach innych muzyków, często bardzo sławnych. Oczywiście, na okładkach płyt nikt o tym nie wiedział. Wiem, że wiele osób nie zna mojego nazwiska, choć z pewnością słyszało moją grę, często nie zdając sobie z tego sprawy. Jestem pewien, że wśród waszych pięciu ulubionych gitarzystów tak naprawdę tylko jeden w całości dokonał nagrań studyjnych. Nierzadko występowałem z innymi na koncertach – tylko ja stałem za kotarą.

Pewnego ranka zapukał do mych drzwi Steve Vai. Miał w ręku gitarę i wzmacniacz. Kiedy spytałem go czego szuka odpowiedział: „Musisz mnie nauczyć wszystkiego, co wiesz o tym instrumencie". Sam nie wiem, dlaczego go wpuściłem do mieszkania. Wydał mi się sympatyczny, a kiedy pokazał co umie, wiedziałem, że mam przed sobą prawdziwy diament, który należy tylko oszlifować. Steve mieszkał i ćwiczył ze mną przez dwa lata. Nie tylko przyswoił mój styl gry, ale zaczął mówić i chodzić jak ja! Był najlepszym moim uczniem i myślę, że już z nikim nie osiągnę takich rezultatów. Kiedy stał się sławny byłem dumny jak ojciec, którego syn osiągnął sukces. W odróżnieniu od Steve'a, który wciąż eksperymentuje, Eddy Van Halen jest znacznie mniej pewny, ale niesamowicie uparty. Jeżeli pokażę Steve'owi jakąś sztuczkę, to następnego dnia przedstawi mi pięć różnych jej wariacji. Eddy będzie ćwiczył do perfekcji dopóki nie usłyszy czegoś nowego. Oprócz tego Vai jest szalenie wszechstronny i może doskonale przystosować się do różnych stylistyk. Mógł pracować z Zappą, Alcatraz, PIL, Dave Lee Rothem, a teraz z Whitesnake, Eddy niestety, sprawdza się tylko we własnej grupie.

Kirk Hammet jest moim sąsiadem w San Francisco i nie mogłem pozwolić, by był tylko przeciętnym gitarzystą. On stara się nauczyć o wiele więcej niż jest to mu potrzebne w Metallice i ja to całym sercem pochwalam...

Dlaczego nagrałem sam wszystkie instrumenty na swoim pierwszym albumie „Not Of This Earth"? Wiesz, nie jestem egocentrykiem, lecz przestało mi odpowiadać użeranie się z muzykami. Oni zawsze chcą wepchnąć coś swojego. Szanuję czyjeś zdanie, ale jak potrzebuję konkretny ton, to nawet najlepszy pianista nie będzie mnie pouczał, bo lepiej od niego znam ten instrument.

Drugi album: „Surfin With An Alien" też był instrumentalny, ponieważ barwa mojego wokalu nie jest najlepsza. Gitarę łatwo jest nastroić, czego nie można powiedzieć o głosie, a poza tym zawsze wyrażałem swoje myśli poprzez gitarę...

Z pewnością nie jestem najlepszy. Wyrosłem słuchając Hendrixa, Johnny Wintera, Led Zeppelin i Black Sabbath, a to jest już staromodna muzyka. Każda nowa generacja jest lepsza od poprzedniej. Z pewnością dorasta już jakiś smarkacz, który przez dwie godziny opanował to, co ja wymyślałem przez dwa lata. Tajemnica mojej gry polega na umiejętnym połączeniu melodii, harmonii, konsekwencji i obłędu. Mam tylko jeden problem: czas płynie, a ja wciąż nie opanowałem gitary na tyle, na ile powinienem.

Słucham moich uczniów. Właściwie to słucham wszystkiego. Obecnie puszczam sobie Faith No More, Sugarcubes, Whitesnake, Metallica, Exodus, Testament, i wiele innych zespołów. Nie śledzę dokładnie karier moich uczniów. Na dobrą sprawę moje nauczanie skończyło się na Kirku Hammecie i zespole Sea Hags. Mimo wszystko lubię uczyć – przekazywać własne odkrycia innym. To musiało być śmieszne, kiedy miałem 16 lat i uczyłem 15 gitarzystów, wśród których był Steve Vai. Bawi mnie określenie Mistrz, jak czasami o mnie mówią lub piszą. Dla mnie to jest ktoś stary z długą brodą. Ja kimś takim na pewno nie jestem, ja jestem Joe.

Śpiewanie nie jest dla mnie niczym nowym. Już to kiedyś robiłem. W Berkeley, w 1979 r. miałem zespół The Squares, który egzystował blisko 5 lat. Potem dopiero skoncentrowałem się wyłącznie na gitarze. Początkowo trudno było mi nie śpiewać, gdy zacząłem dokonywać nagrań instrumentalnych. Myślałem sobie – wyjdę na scenę i przez cały wieczór będę tylko grał i nic więcej. Ale porwała mnie idea zrobienia płyty typowo rockowej, a nie muzyki fusion. Zanim pomysły staną się nagraniami może upłynąć dwa miesiące lub cały rok. W tym czasie zapisuję pomysły, staram się je nagrywać po kilka razy na czterośladzie, potem coś odrzucam lub dodaję. To zabiera sporo czasu i zdarza się, że z oryginału nie zostaje nic. Kiedy mam wkroczyć do studia wszystko jest już gotowe oprócz partii solowych, które zawsze są improwizowane. Z reguły mało utworów z sesji zostaje odrzuconych – podczas nagrywania LP Surfin With An Alien odpadły dwie kompozycje, a obecnie zrezygnowałem z pięciu. Uznałem, że jeden z utworów był zbyt osobisty i wstrzymałem się z jego ujawnieniem. Poczeka na następny album.

A teraz, po wyznaniach Mistrza imieniem Joe, nie pozostaje nam nic innego jak wysłuchać nowej płyty *Flying In A Blue Dream*, która trafiła na amerykańską listę Top 40. Joe po raz pierwszy na płycie występuje jako gitarzysta i wokalista, choć większość kompozycji to instrumentalna pirotechnika.

opr. gb/rr





KONKURS

Na tym zdjęciu znajduje się 30 muzyków. Jeżeli rozpoznasz 20, Twoje zdjęcie z dowolnym dwuzdaniowym tekstem znajdzie się w nr 8 „MM". Na rozwiązania i... zdjęcia czekamy do 20 lipca. Uwaga! Możemy wydrukować tylko jedno zdjęcie, a więc liczy się pierwsza prawidłowa odpowiedź nadesłana do Redakcji.

POŻEGNANIA

● Na początku kwietnia zmarła wybitna wokalistka i pianistka, **SARAH VAUGHAN.** Urodzona 27 marca 1924 roku w Newark w stanie New Jersey, od najmłodszych lat związana była z lokalnym kościołem baptystów, gdzie śpiewała w chórze i grała na organach Później jej zainteresowania przeniosły się na bardziej świecką muzykę – namówiona przez przyjaciół, wzięła udział w konkursie amatorów w A-



SARAH

pollo Theather w Harlemie w 1943, w którym zajęła pierwsze miejsce. Polecona przez Billy'ego Eckstine'a karierę profesjonalną rozpoczęła jako refrenistka i druga pianistka w orkiestrze Earla Hinesa, po czym – w 1944 roku – znalazła się w bebopowym big bandzie swego protektora. W latach 1945–1946 związana była z zespołem Johna Kirby'ego – współpracowała krótko i Dizzym Gillespiem, Tonym Scottem, Dicky Wellsem, Georgie Auldem, Teddy Wilsonem i Countem Basiem – aż wreszcie stanęła na czele własnego tria, z którym praktycznie objechała cały świat. Bardzo szybko awansowała do ścisłej czołówki jazzowych wokalistek – jej nazwisko było wymieniane jednym tchem z nazwiskami Elli Fitzgerald i Billie Holiday, a jej pozycję w jazzowej hierarchii odzwierciedlały częste zwycięstwa w ankietach krytyków i czytelników „Down Beatu" i innych liczących się pism muzycznych lub poświęcających muzyce sporo miejsca (np. „Playboy"). Sama Vaughan bardzo nie lubiła klasyfikowania jej jako wokalistki „jazzowej" – uważała się po prostu za piosenkarkę, argumentując, iż w jej repertuarze utwory ze znanych musicali i własne interpretacje uwielbianych przez publiczność przebojów odgrywają taką samą rolę jak standardy jazzowe. W miarę rosnącej popularności i związanych z tym coraz częstszych recitali w dużych salach koncertowych, artystka wypracowała formułę programu składającego się z trzech części (solo z akompaniamentem fortepianu, w trio i z orkiestrą), które pozwalały na pełne zaprezentowanie szerokiej skali jej możliwości. Przyczyną śmierci Vaughan był rak płuc.

● W Las Vegas zastrzelony został **CORNELL GUNTER,** 53-letni tenor wokalnej grupy The Coasters, której szczytowy okres popularności przypadł na przełom lat 50. i 60. Policja nie potrafi na razie wskazać motywu ani sprawcy zabójstwa – nie wyklucza jednak prawdopodobieństwa związku tej tragedii z zamordowaniem dokładnie przed 10 laty innego członka tego zespołu – Nathaniela Wilsona. Przypominamy, że Wilson nagle zaginął bez śladu, także w Las Vegas, a miesiąc później jego poćwiartowane zwłoki znaleziono w Kalifornii. Jego zabójca, Patrick Cavannaugh, do dziś przebywa w celi śmierci w więzieniu w Nevadzie i, być może, złożone przezeń zeznania rzucą trochę światła na kulisy całej tej ponurej historii.

PŁYTY MIESIĄCA



MADONNA
I'm Breathless
Polskie Nagrania

Na fotografii na odwrocie okładki Madonna wygląda chyba ładniej niż na jakimkolwiek wcześniejszym zdjęciu. I longplay jest lepszy od poprzednich, choć na pewno takie płyty jak ta – *I'm Breathless* – nie zapewniłyby piosenkarce jej obecnej pozycji. Bo – prawdę powiedziawszy – artystka zrobiła przykrą niespodziankę wszystkim słuchaczom, którzy widzą w niej tylko muzyczną królową dyskotek.

Nigdy nie lubiłem Madonny i jej stylu, ale z czasem coraz bardziej ją doceniam; z początku zdawała się być kolejną marionetką ze szczytów amerykańskiego show businessu, lecz od jakiegoś czasu wyraźnie widać, że to prawdziwa osobowość. Jest współautorką większości swego repertuaru i do tego coraz to zmienia odważnie swe emploi – poszukuje, prowokuje, ryzykuje. A jeśli nawet tylko to odgrywa – robi to wspaniale. Naprawdę profesjonalnie. Muzyka z płyt Madonny jest coraz bogatsza, w coraz lepszym guście (jeśli pominąć nieszczęsne *Like A Prayer*), a jej śpiew ma coraz więcej wyrazu. Piosenkarka, słusznie kojarzona z kukiełkowym teatrzykiem pop-music, rozwija się artystycznie.

I'm Breathless – jak wynika z informacji na kopercie i na nalepce płyty – to piosenki z filmu fabularnego *Dick Tracy* lub nim zainspirowane. Filmu nie widziałem; sądząc z okładkowych ilustracji jego akcja rozgrywa się jakieś czterdzieści lat temu, na pewno przed narodzinami rock'n'rolla. I prawie cały longplay wypełniają piosenki przesycone – w mniejszym lub większym stopniu – nostalgią za tamtą epoką. Głównie mamy do czynienia z wiązanką bardzo udanych, świetnie wyprodukowanych studyjnie stylizacji. Pojawiają się tu pastisze jazzowej ballady (*Sooner Or Later*) i latynoskiego przeboju sprzed kilkudziesięciu lat (*I'm Going Bananas*), amerykańskiego repertuaru rewiowego sprzed mniej więcej półwiecza (*Cry Baby; More*) i jazzowo-soulowej muzyki z bigbandowej ery (*Hanky Panky*), chwilami z wyraźnymi aluzjami – także za sprawą partii wokalnej – do ówczesnych poczynań Elli Fitzgerald. *(Back In Bussiness)*

A na zakończenie płyty Madonna przypomina, że jest Madonną i raczy słuchacza naprawdę nowoczesnym, wymarzonym do dyskoteki utworem *Vogue*. Nie pozostawia on wątpliwości, że gdyby teraz założyła żeński zespół wokalny, stałby się czymś w rodzaju The Supremes lat 90... **(7).**

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

PS. *I'm Breathless* ukazało się w Polsce tego samego dnia, co na Zachodzie. Miejmy nadzieję, że to nie jednorazowy eksperyment Polskich Nagrań.



VOO VOO
Ze środy na czwartek
Polskie Nagrania

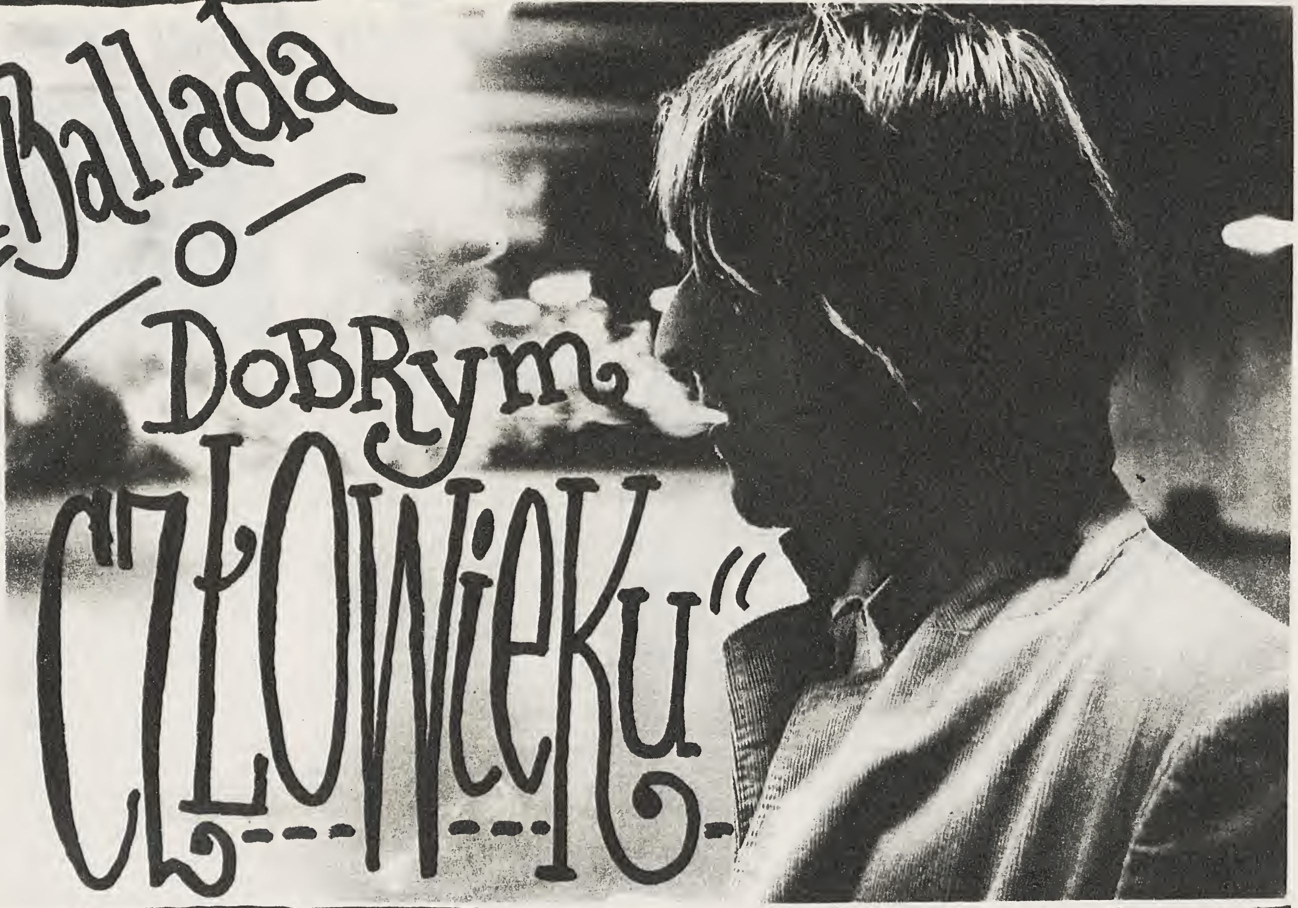
Imponuje mi konsekwencja z jaką od lat pracuje Voo Voo. W twórczości tej kapeli w niezwykle subtelny sposób odbijają się wszelkie nowe trendy i mody, a Wojtek Waglewski asymiluje do swojej muzyki tylko to, co pasuje do jego wyobraźni. Nowy LP to kolejny krok w nieco mroczny i podejrzany świat czterech muzyków tworzących Voo Voo.

Porównanie Waglewskiego do Toma Waitsa wydaje mi się przy tej płycie bardzo na miejscu. Obu panów interesuje przecież ciemna strona życia, chociaż komentarz Waglewskiego wydaje się bardziej osobisty, zamknięty. Wokalnie Wojtek niewątpliwie ustępuje Tomowi, ale w obu przypadkach głosy świetnie korespondują z muzyką. A ta, jak można się domyślić, może podobać się raczej koneserom. Mam jednak wrażenie, że druga strona wypełniona jest lżejszymi propozycjami. Hipnotyzująca i zarazem wciągająca jest perkusja w numerze *5x5*, zalotnie i chwytliwie pobrzmiewa regałowy kawałek *Do nieprzyjaciół*. Natomiast sygnałem muzycznego jadu Voo Voo jest pełen napięcia i pięknych klimatów finał w postaci utworu *Sfora zmór*. Przy jeszcze lepszej produkcji byłby to rzeczywiście zabójczy numer od strony muzycznej. O ile tytułowy czwartek ma coś w sobie komercyjnego, to tytułowa środa zadowoli fanów „starego" Waglewskiego. Gęsty i mroczny numer *Bez obroży* czy ukłon w stronę Waitsa w *Niedobitkach,* to utwory charakterystyczne dla dotychczasowej twórczości Voo Voo. Może nieco zaczyna drażnić pewna stereotypowość lakonicznych tekstów z tą samą konfiguracją symboli, ale z drugiej strony taka właśnie jest poetyka numerów Voo Voo.

Nowym albumem Waglewski na pewno ucieszy starych fanów, ale wątpię czy zwerbuje nim nowe zastępy sympatyków. Kurs pozostaje ten sam i tylko forma uległa pewnemu odświeżeniu. **(7)**

ROMEK ROGOWIECKI

„Ballada o dobrym człowieku"



BOGDAN ŁYSZKIEWICZ

Fot.: PIOTR GÓRKA

Na początku trochę historii. Kiedy na triumfalne tournée przyjechał do ZSRR amerykański gwiazdor jazzu, Benny Goodman, tubylców, a przede wszystkim młodzież, ogarnęło szaleństwo. Inny gwiazdor Nikita Chruszczow (to ten, co przed Stalinem degustował kiełbasę i śledzie w heroiczny sposób przekonując wodza, że podawane specjały nie są zatrute) chcąc poznać przyczynę niezrozumiałej dla niego euforii, wybrał się na koncert jazzowy osobiście, by w finale stwierdzić stanowczo, iż ludzie radzieccy nigdy takiej muzyki nie zaakceptują. Stało się jednak inaczej. Chruszczow odszedł, jazz pozostał. Jaki związek ma ta opowieść z tekstem o Chłopcach z Placu Broni? Otóż ma. Gdy latem 1987 roku grupa ta wystąpiła w Jarocinie, duża część dziennikarzy zgodnym chórem zawyrokowała, że ten zespół nie ma prawa zrobić kariery, bo publiczność oczekuje dziś czegoś zupełnie innego. Zaczęły się mnożyć zarzuty o „czerwonogitaryzm", o renesans big bitu, harcerskie wibracje i dancingowy sound. I gdy wszyscy oczekiwali, iż czas obnaży miałkość artystycznej koncepcji grupy, rzeczywistość podsunęła inne rozwiązanie. Zespół zaczął robić błyskotliwą karierę, odbywać triumfalne koncerty, zdobywać listy przebojów. Do dziś praktycznie jako jedyny reprezentant grup tzw. radosnego uderzenia czy ludycznego rock and rolla, pozostał na rockowym placu broni. Skończyły się kariery-efemerydy Wańki Wstańki, Stan Zvezdy, Po prostu, De Vodki, Mikrofonów Kanionów, Malarzy i Żołnierzy. Chłopcy trwają. Źródeł i tajemnicy tego sukcesu wiele osób doszukuje się w osobowości lidera i wokalisty grupy, Bogdana Łyszkiewicza. Kierując się więc tymi sugestiami, pragnąc spenetrować ów fenomen, udałem się do Galicji...

B.Ł.: *Teraz mogę to powiedzieć, tego zespołu właściwie nie ma i nigdy go nie było. Jestem po prostu ja i moi przyjaciele. Widzisz, ja jestem spod znaku panny, co oznacza idealizm i obsesyjną pedanterię. Przez skład, z którym grałem przewinęło się do dziś ponad dwadzieścia osób. Z czego to wynika? Otóż dla mnie zespół musi być maszyną działającą sprawnie na trzech poziomach; technicznym, koncepcyjnym i towarzyskim. Trudno jest niestety znaleźć ludzi potrafiących sprostać tym wymaganiom. Tak więc piszę i komponuję sam, a do realizacji swych planów dobieram sobie właściwych muzyków.*

Jednak mimo tej dość istotnej deklaracji, Bogdan sprawia wrażenie człowieka nie traktującego zbyt poważnie swoich artystycznych zdolności.

B.Ł.: *Właściwie to ja nie umiem śpiewać, to, że sobie radzę zawdzięczam głównie szkole muzycznej i nauce gry na klarnecie. W składzie, w którym wystąpiliśmy po raz pierwszy w Jarocinie wszyscy, którzy grali, byli zawodowcami, tylko ja byłem amatorem. Nazwa? To w sumie przypadek. Mieliśmy zaplanowany koncert, a nie mieliśmy nazwy. Spośród wielu, mniej lub bardziej absurdalnych, wybraliśmy właśnie tę. Do dziś nie wiem dlaczego.*

Zadebiutowali w Jarocinie w 1987 r., był to ich trzeci wspólny koncert. Dostali się tam dzięki rekomendacji Kory Jackowskiej oraz względnie dobrze zrealizowanej kasecie demo, którą nagrali w krakowskim studiu u Jezuitów. Niestety, Jezuici nie okazali miłosierdzia i zainkasowali od zespołu sto tysięcy złotych, co na ówczesne czasy było sumą dość znaczną. Jarocin tamtego roku zdominowany był przez ludycznych rock and rollowców, tak więc publiczność przyjęła ich ciepło. Awans do koncertu finałowego zawdzięczali jednak przypadkowi.

B.Ł.: *Dopiero niedawno dowiedziałem się jak to wyglądało. Występowaliśmy o godzinie 10 rano, a każdy kto był w Jarocinie wie, jak wygląda on w godzinach rannych. Na nasz występ nie dotarli zamroczeni członkowie Wielkiej Komisji przesłuchującej wykonawców. Był tylko Mirek Makowski i on zdecydował, może trochę przez przekorę, że zagramy na dużej scenie.*

Zatrzymajmy się chwilę przy samej muzyce. Owszem kiedyś można było ten temat zbyć jednym stwierdzeniem – ascetyczna knajpa i na tym poprzestać. Starajmy się jednak wniknąć głębiej, zrozumieć pewną określoną konwencję, wedle której ona powstaje. Ambicją grupy jest muzyka czerpiąca z bogatej tradycji lat 60. nasycana osiągnięciami dzisiejszych twórców takich, jak np. Eddie Brickell, Traweling Willburys czy Lou Reed. Na tym etapie chłopcy są dzisiaj, w tej tendencji utrzymany będzie ich pierwszy album. Wcześniejsze dokonania zespołu uderzały przede wszystkim młodzieńczym zapałem, autentyzmem emocji czy ujmującą spontanicznością. Może to niemiłe co napiszę, ale największą siłą zespołu był brak oryginalności. Banał doskonały? Balans na granicy kiczu? Niezupełnie. Odnoszę wrażenie, iż istotą ich twórczości były proste wzruszenia, szukanie uniwersalnego klucza do sztuki dla wszystkich. Ta muzyka pozbawiona była akrobacji interpretacyjnych, wyrafinowanych harmonii czy komplikacji aranżacyjnych. Proste gitarowe piosenki, proste gitarowe brzmienie. Wszystko to okazało się dobrą receptą na sukces.

B.Ł.: *Myślę że była to muzyka, której przez długi czas nie można było znaleźć na naszym rynku, pomimo iż wiele osób na nią czekało. Taki soft folk roll – to termin dla tych, którzy lubią etykietki. Pragnęliśmy uwolnić ludzi od zawodzenia tych zdeklarowanych neurotyków spod sztandaru No Future, od całego ich buntu pozornego, którego stali się niewolnikami. U nas miało być przede wszystkim wesoło, rozrywkowo, ale bez grubo ciosanego humoru w stylu Wańki. Jedynymi zaś ustrojami, z kórymi mieliśmy walczyć były drobnoustroje... Gdy zaczynaliśmy mieliśmy swój manifest pt. Nowe Tezy Kwietniowe. A brzmiał on: „Pragniemy stanąć w opozycji do wszystkich smutnych i zasępionych idoli. Nie chcemy ogłupiać ani oszukiwać muzyczną tandetą. Marzymy, by słuchano nas w najbardziej oddalonych od Krakowa remizach strażackich". Chodziło nam o przełamanie pewnych schematów, wyzwolenie się z pęt muzycznych stereotypów. Okazało się wtedy, że jest jeszcze parę innych osób działających z podobnym nastawieniem. Tak więc wszyscy zmontowaliśmy wspólny front artystycznej kontrrewolucji w stosunku do dołowania i punkrockowego smęcenia. Pytasz, co wpłynęło na ówczesny kształt muzyki. Wtedy były to głównie zespoły lat 60., bardzo nas to fascynowało. Beatlesi, Rrolling Stonesi, na nich głównie się oglądaliśmy. Szczególnie z Beatlesami czuliśmy się blisko związani emocjonalnie, z ich melodyką, od nich czerpaliśmy też pomysły na harmonię. Na zarzut, że gramy muzykę skromną i oszczędną zawsze odpowiadam, że oni też zanim dotarli do „Sgt. Peppera" zaczynali od „Love Me Do". U Andrzeja Puczyńskiego nagraliśmy właśnie swoją pierwszą płytę długogrającą, lecz na niej, oprócz kilku znanych piosenek, dominować będą utwory nowe, już nieco inne od tego co robiliśmy wcześniej. Myślę, iż będzie ona niespodzianką dla naszych fanów i zaskoczeniem dla przeciwników. W pewnym sensie będzie to też moja płyta autorska, gdyż jestem kompozytorem i autorem całości muzyki i tekstów. Ode mnie też pochodzić będzie jej koncepcja brzmieniowa i stylistyczna. Przy wyborze utworów byłem w dość trudnej sytuacji, gdyż materiału w tej chwili mamy tak wiele, że powinniśmy nagrać jedną płytę ze starymi przebojami typu „O Ela", „Aeroplan" czy „System Kolonialny", zamykającą i podsumowującą pewien okres działalności zespołu oraz drugą z zupełnie nowym programem. Niestety, jest to niemożliwe i trzeba będzie wypracować pewien kompromis. Ostatnio jestem na etapie fascynacji folkiem, tak więc płyta będzie trochę w charakterze... Velvet Underground, będą w niej elementy z Trawelling Willburys, Dylana, Eddie Brickel czy Tracy Champan. Sporo też będzie starego dobrego rock and rolla. Znajdą się na niej na pewno utwory: „To koniec", „Kocham ją", „Wolność", „To nieważne", „Jestem niewolnikiem" i „Ballada o dobrym człowieku". Nagraliśmy ją w składzie Krzysztof Zawadka na gitarze, na drugiej Marek Siegmunt (zajmie on miejsce Jurka Styczyńskiego z Dżemu, który dość często z nami koncertował), na basie Paweł Nazimek ze Sztywnego, na bębnach Wojtek Namaczyński, ja „na głosie".*

Teraz dwa słowa o tekstach. W tej dziedzinie Bogdan zaproponował nowe rozpoznanie otaczającego świata, z dystansem i liryką, bez patosu. Dalekie od polskiej punkrockowej szkoły masochizmu. Tym samym trafił w wolną sferę uczuć i pragnień młodych słuchaczy zmęczonych „rozdzierającą duszę" poetyką, w której pośród brudu egzystencji brakowało miejsca na subtelność, liryzm i humor. Myślę, iż słynne słowa Joyca, „nie możemy zmienić kraju więc zmieńmy temat" dobrze oddają artystyczne credo autora. Sceny rockowej nie zamierza zamieniać w trybunę, katedrę czy ambonę. Również w sferze stylu nie napotykamy wielkiej oryginalności, nie kuszą go piękne metafory. Pisze prosto, gdyż, jak sam mówi – nie lubi zbytnio kombinować.

B.Ł.: *Powiedzmy sobie szczerze, muzyka kotestacyjna staje się skansenem, skamieliną. U nas, niestety, wciąż dominuje tandetny plakatowy socrealizm. Punk stał się sztuką socrealistyczną, podporządkowaną rzeczywistości. W ten kanał wpędziła go jego własna rewolucja. Zresztą tak zwykle bywa z rewolucjami, że ich główną siłą jest destrukcja i negacja tego, co zastała. Później traci ona impet, obrasta schematami, dogmatami i ideologią. Zastyga w twórczym uwiądzie i oddala się od życia. Tak też stało się z punk rockiem. Ci ludzie mają wyraźne obsesje i urazy psychiczne spowodowane totalitaryzmem. A trzeba mieć dystans do rzeczywistości oraz jej spraw szybko przemijających. Jedynym tematem ponadczasowym jest miłość i jej zamierzam poświęcić większość moich kompozycji. Zobacz Rolling Stonesów. Anglia też ma swoje problemy, a oni, niezależnie od wieku, potrafią tak fantastycznie śpiewać o miłości. My pragniemy grać muzykę, która łagodzi obyczaje. Ja bardziej zainteresowany jestem tym, co dzieje się wewnątrz człowieka, a nie wokół niego. Chciałbym niektórym zwrócić uwagę na rzeczy, których na co dzień nie dostrzegają, ażeby dzięki naszej muzyce czuli się lepiej, zapomnieli o problemach, o codzienności. Ryszard Wagner powiedział kiedyś, iż celem sztuki jest rozrywka dla znudzonych, oto nasz cel. Czasami chętnie widziałbym siebie w roli barda, podróżującego z gitarą od miasta do miasta, głoszącego miłość bliźniego w kraju nazbyt rozwiniętego socjalizmu.*

Na hasło „ideologia" niedobrze mi się robi. Nie jestem człowiekiem zaangażowanym politycznie, ne mam też misjonarskich zapędów. Owszem, śpiewam „Kocham wolność", ale nie jest to piosenka polityczna. Sprowadzenie pojęcia wolności tylko do kategorii politycznej spłyca jej istotę. Generalnie teksty moje powstają według jednej zasady. Chodzi o balans na granicy niepewności, ażeby odbiorca do końca nie wiedział, czy to, o czym śpiewam traktowane jest przeze mnie poważnie czy z dystansem, czy uderzam w patos czy puszczam oko. Po prostu programowa kontrowersyjność. Wiele osób dało się na to nabrać. „Ela" miała być właśnie takim pastiszem totalnym, dokładnie ilustrującym naszą deklarację programową. Podobnie było z „Aeroplanem", czyli niby-protest-songiem, zrobionym pod tych w Jarocinie, którzy lubią zaangażowane teksty. Kupili to. Jedynym utworem odbijającym od tej konwencji jest „Nasz nowy hymn", w sumie dość smutna piosenka. Pytasz o inspirację? Akurat do tego numeru znaleźć ją można na każdym kroku. Odpowiem ci słowami Marka Hłaski, „w tym kraju można być albo pijakiem, albo bohaterem".

– Czym w twojej karierze był epizod o nazwie De Nos?

– Pomysł ten narodził się na fali mojej przyjaźni z Jarkiem Kisińskim i Zbyszkiem Ciaputą ze Sztywnego Pala. Postanowiliśmy założyć wspólną kapelę, a że rzeczą, którą mieliśmy wspólną były duże nosy, nazwaliśmy się De Nos. Graliśmy głównie kompozycje moje i Jarka, jedną z nich była piosenka „Nie zmienię świata", wylansowana później przez Szpala. Mieliśmy taką sesję nagraniową dla Rozgłośni Harcerskiej, w której na basie grała moja dziewczyna Ewa, a na harmonijce ustnej Tomek Lipiński. Wspólne granie trwało jednak krótko, zagraliśmy w sumie jeden koncert w Brodnicy na Muzycznym Campingu.

– Image?

– Widzisz, ja mam przemyślany swój stosunek do sceny, niestety, pewne efekty są u nas nie do osiągnięcia z przyczyn obiektywnych. W każdym razie przy dość zunifikowanym rynsztunku w jaki zdobią się moi koledzy po fachu, ja wolę pozostać na scenie sobą, czyli takim jakim jestem na co dzień.

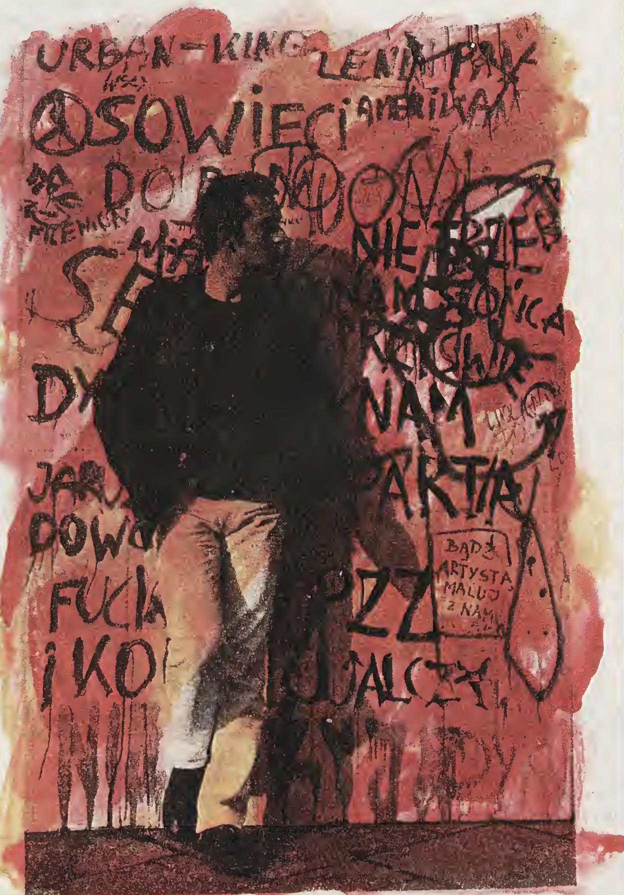
– Jak reagujesz na popularność?

– Lubię popularność, to oczywiste. Nie oznacza to jednak, iż od razu ląduję głową w stratosferze. Popularność jest dla mnie szansą poznawania nowych ludzi, miłe są także sytuacje kiedy ktoś mijający mnie na ulicy woła np. „O, chłopiec z placu broni", albo „O, aeroplan", względnie „O, ela". Dziewczęta często wołają za mną, „tak niewiele żądam", i to jest już niebezpieczne.

Na koniec pytam Bogdana o rockowe środowisko Krakowa i ze zdumieniem dowiaduję się, iż w tym zakresie panuje tu iście galicyjska bieda. Ze znanych działają tylko Vavel Underground, Made In Poland i psychoindustrialny Wehehe. To wszystko. Czyżby więc Chłopcy zasługiwali na miano najciekawszego zjawiska muzycznego Krakowa...?

KUBA WOJEWÓDZKI

Obecnie zespół Chłopcy z Placu Broni tworzą: Bogdan Łyszkiewicz – voc. i paru innych kolesi – różne instrumenty, własne lub pożyczone.



Fot.: PIOTR GÓRKA



MUNIEK się wstydzi, reszta nie. Fot.: JERZY STOKOWSKI

T. LOVE ODSŁONA DRUGA

(monolog MUŃKA STASZCZYKA – głównie w czasie przyszłym).

T. Love założyłem w 1982 roku. Ja byłem pomysłodawcą i twórcą tej kapeli. Przewinęło się przez nią wielu muzyków. Przez siedem lat istnienia nagraliśmy singel i dwa longplaye. Były także wydawnictwa „drugoobiegowe" – kasety: „Nasz Bubelon" i „Chamy idą". Od pewnego czasu (rok, półtora?) opuścił nas twórczy impet. Fakt, że grupa rozwiązała się był naturlanym sposobem wyjścia z impasu. Nie jest łatwo prowadzić zespół jeżeli muzycy mieszkają w różnych miastach i oprócz grania mają jeszcze masę innych zajęć. W ten sposób upadł mój prywatny mit, że mimo takich przeszkód, można kapelę utrzymać.

Ludzie zarzucali nam, że stoimy w miejscu, nic nowego nie robimy. To prawda, od momentu nagrania „Wychowania" zupełnie przestaliśmy się rozwijać. Sama płyta była świadectwem tego twórczego zagubienia. Postawiono jej wiele zarzutów. Pomijając fakt, że została fatalnie zrealizowana, jej głównym mankamentem był brak jednoznacznego oblicza. Zbyt dużo pomysiów, czasami nie bardzo pasujących do ogólnej stylistyki płyty, sprawiło, że stała się rozmydlona. Ja sam z przyjemnością słucham jedynie „Imitacji", „Śpiewam bęben", „Wychowania", „Naszej tradycji". Mając świadomość kryzysu, czekałem na moment, kiedy całą sytuację będzie można rozwiązać naturalnie. Stało się tak przy okazji mojego półrocznego wyjazdu do Anglii – po prostu rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę.

Tamten T. Love przestał istnieć – została nazwa, którą postanowiłem wykorzystać przez sentyment, a także ze względów koniunkturalnych.

W styczniu wróciłem z Londynu i zacząłem rozglądać się za nowymi muzykami. Tak trafiłem do Janka Benedka, gitarzysty i wielkiego fana Stonesów, odkrytego swego czasu przez Piotrka Bratkowskiego. Okazało się, że odpowiadają nam te same klimaty, słuchamy bardzo podobnych kapel, wobec czego szybko porozumieliśmy się w kwestii muzyki, jaką mamy wspólnie robić. Trzecim członkiem grupy jest perkusista Robert Szambelan. Nie mamy jeszcze stałego basisty. Bardzo chciałbym, żeby grał z nami Koniu (stary skład), ale niestety, on wyjeżdża za granicę. Taki typowo rockowy skład (dwie gitary, bas, bębny, vocal) to wersja koncertowa. Na płycie brzmienie będzie wzbogacone o klawisze, dęciaki. Materiałem z kasety demo interesuje się kilka wytwórni. Tytuł „Pocisk miłości" wyjaśnia, wokół jakiej tematyki oscylować będą teksty. Od dawna chciałem zrobić taką płytę, sprawdzić jak poradzę sobie z tekstami o miłości. Część z nich napisałem po polsku, część po angielsku. Nie wynika to z mody śpiewania w tym języku. Kompozycje Janka narzucają wykorzystanie angielskiego, poza tym bałem się pretensjonalności. Naturalniej i łatwiej napisać banał typu „Baby, I love you", niż dobry tekst o uczuciu.

Muzycznie nowy T. Love ma być powrotem do czasów singla i wydanej na składance „Zabijanki". Myślę, że tamte czasy były dla grupy najlepsze. Może rzeczywiście graliśmy prościej, bo nie potrafiliśmy inaczej, ale muzyka była bardziej czadowa, ekspresyjna, mniej wykoncypowana, za to bardziej zgrana.

W nowym T. Love chcemy utrzymać styl gitarowego rock and rolla. Sposób, w jaki Janek gra na gitarze zapowiada estetykę riffową – dwie gitary uzupełniające się, bez solówek i odjazdów. Właśnie o to mi chodzi, o dotarcie do serca rock and rolla. Dlatego moją fascynacją i inspiracją jest The Rolling Stones. Z nowymi muzykami będę grał nowy repertuar. Ze starych kawałków zaadaptuję dwa lub trzy, generalnie jednak nie chcę się podpierać starymi rzeczami. Zamierzam także kontynuować przeróbki standardów rocka.

Półroczna przerwa w graniu bardzo dobrze na mnie wpłynęła. Kiedyś jeden tekst pisałem dwa, trzy tygodnie, teraz w ciągu czterech dni napisałem sześć tekstów. Znowu cieszy mnie to, co robię. Przy tym mam już trochę doświadczenia i zdaję sobie sprawę, że ostateczny kształt nagrania zależy od realizatora. W Polsce nie ma, niestety, zawodu producenta nagrań. Dlatego nie mogę zagwarantować, że doskonała kompozycja Janka – stonesowska pościelówa – nie zamieni się w kicz rodem z „Lata z radiem". Biorę to pod uwagę i nie popadam w euforię.

Byłoby kokieterią twierdzić, że wychodzę do ludzi jako całkiem nowy człowiek. Przecież pozostawiłem nazwę, a zdaję sobie sprawę, że byłem z T. Love utożsamiany. Ale ludzie kojarzą mnie z piosenkami typu: „Idą żołnierze", „Garaż" itd., a to już przeszłość. Teraz będzie na nowo i czadowo.

Wysłuchała i zanotowała
IZA ŁONCKA



BASIA
London Warsaw New York
Epic

Powiedziano, żeby o Basi napisać więcej niż o innych, bo to rodaczka nasza sławna w całym szerokim świecie. I z miłą chęcią tak właśnie bym zrobił, gdyby Basia nie wycięła głupiego numeru i nie nagrała płyty, o której dużo pisać nie ma sensu. Album *London, Warsaw, New York* powstał według tej samej recepty, co poprzedni – *Time And Tide*, brakuje mu jednak świeżości i naturalności debiutu. Posłuchałem go uważnie, z 10 piosenek na uznanie zasługuje tylko 5. Połowa, czyli mało.

Pomińmy milczeniem mniej interesującą połowę i zajmijmy się fragmentami, których posłuchać warto. Nie, wcale nie dlatego, że odkrywcze, ważne lub walczące – Basia i Danny White, który skomponował cały materiał (oczywiście, za wyjątkiem standardu *Until You Come Back To Me*, którego autorem jest Stevie Wonder), nie mają takich ambicji. Ich utwory mają służyć rozrywce. Tylko rozrywce. Okazuje się jednak, że stworzyć dobrą, niebanalną muzykę rozrywkową nie jest wcale tak łatwo. Udało się to w przypadku piosenek *Cruising For Bruising, Baby You'r Mine* i *Take Him Back Rachel* – to typowe „basiowe" samby – subtelne, lekkie, ze zgrabnie wkomponowanymi w aranżacyjną całość delikatnymi solami fortepianu lub brzmiącej „po hiszpańsku" akustycznej gitary. Uwagę przyciąga również utrzymany w stylu cygańskiej ballady utwór *Ordinary People* ze świetnymi akcentami swojsko brzmiącego akordeonu, który nadał całości specyficzny, trochę warszawski klimat. Znalazła się też na płycie miła dla nas perełka, zatytułowana *Copernicus* będąca opowieścią Basi o Polsce. Ta piosenka jest o miejscu, w którym się urodziłam. I wcale nie jest to na księżycu – śpiewa wspaniale Basia. Utwór wyraźnie nawiązuje do stylistyki Acid-House, nosi jednak wyraźne piętno jej stylu. Świetnie gra sekcja dęta (szczególnie warto wsłuchać się w partie trąbki, w którą dmuchał Kevin Robinson), oklaski należą się też gitarzyście Peterowi White'owi. Sądzę, iż będzie to największy przebój z tego LP, a kilka wersów śpiewanych w ojczystym języku zrobi z niego hit również u nas.

A reszta? Cóż, tragicznie nie jest – cały materiał jest zgrabnie zaaranżowany, świetnie zagrany i doskonale zaśpiewany, tylko że – za wyjątkiem wymienionych utworów – jakby trochę „tapeciasty". Basia jest „nasza", ma więc być najlepsza, dlatego szkoda, że tym razem zasłużyła tylko na **(6)**.

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI



MICHAEL BOLTON
Soul Provider
CBS

Jeśli kiedyś powstanie w radiu program wyłącznie dla zakochanych, zdradzonych, porzuconych i innych ludzi o podobnych chorobach sercowych, należy go w całości wypełnić numerami z tego LP. Nie wiem jakim sposobem Bolton ma tak pojemne płuca i tak piekielnie urzekający, leciutko zdarty „czarny" głos, ale wiem, że robi z nich fantastyczny użytek. Pamiętam jak przed chyba dwoma laty Michael sięgnął po genialny numer Reddinga *Sittin On The Dock Of The Bay* i zamienił go znowu w hit. Tym razem wybór padł na klasyczny numer Raya Charlesa *Georgia On My Mind* i powstało kolejne arcydzieło.

Reszta to numery Boltona pisane wspólnie z Diane Warreną. Kiedy ich się słucha ma się wrażenie, że są łudząco podobne do przebojów takich gwiazd jak: Joe Cocker, Cher, Chicago czy Heart. Wystarczy jednak spojrzeć na koperty płyt wspomnianych wykonawców, by odkryć tajemnicę poliszynela. Zarówno Bolton jak i Warren zarobili miliony pisząc kilka wielkich hitów końca lat 80. Fakt, że Bolton doszedł do głosu dopiero przy okazji czwartej płyty solowej (debiutował w 1983) i to blisko w rok po jej wydaniu świadczy nie tylko o tłoku na amerykańskim rynku, ale także o koniecznicości atrakcyjnego image'u. Michael nie może pod tym względem konkurować z Richardem Marxem lub Jonem Bon Jovi i skutki już znamy. *How Can We Be Lovers* czy *You Wouldn't Know Love* pozostają w tej samej lidze co utwory wspomnianych przystojniaków i są oczywiście idealnie skrojone z myślą o amerykańskim radiu. Aranż i wykonanie nie pozostawiają cienia wątpliwości co do klasy artysty i jego współpracowników. Co ciekawsze, w niezwykle emocjonalnej i pełnej zaangażowania interpretacji Boltona nie rażą nawet niezbyt lotne teksty oscylujące wokół znanych od wieków problemów sercowych, choć brakuje mi tutaj ostrzejszej gitariady.

Fani Cockera czy czarnej, soulującej muzyki powinni natychmiast zawrzeć bliższą znajomość z albumem *Soul Provider*. Prawdziwy balsam dla wrażliwych uszu i krwawiącego serca. (7).

ROMEK ROGOWIECKI



THE STRANGLERS
10
Epic

Tej płyty nie można traktować poważnie (to znaczy właściwie można, ale po jakimś czasie i tak zrozumiemy, że zrobiono z nas balona i będzie nam głupio). A zresztą, jeśli ktokolwiek po obejrzeniu okładki podchodzi do tego dziełka serio, oznacza to bez wątpienia, że znajduje się on w stanie głębokiej depresji i powinien jak najprędzej odwiedzić Pana Psychiatrę.

Wygląda na to, że podtatusiali już nieco Dusiciele przy okazji jubileuszowej, dziesiątej płyty mrużą do nas znacząco oko i zapraszają do wspólnej zabawy polegającej na podróżowaniu w różne muzyczne rejony, przy czym muzycy kradnąc co niemiara rozmaitych motywów i wykorzystując całą gamę tricków z co najmniej kilku muzycznych epok, robią sobie ze wszystkich „okradzionych" totalne „jaja". W tym cyrku jest dokładnie wszystko, darujmy więc sobie wyliczanie, w którym numerze została zręcznie użyta jazzująca trąbka, a gdzie pojawiło się „szklane" brzmienie organów jak za „dawnych, dobrych, lat sześćdziesiątych". Sądzę, że więcej przyjemności sprawi wszystkim wyszukiwanie tych smaczków na własną rękę. Mnie najbardziej rozbroił patent zastosowany w smutnym skądinąd i pełnym nostalgii kawałku *In This Place*, gdzie Hugh Cornwell naśladuje manierę wokalną Davida Bowie z takim zaangażowaniem, że można się posiusiać ze śmiechu.

Są na płycie również trzy ewidentne hity – *96 Tears*, który wciąż utrzymuje się na listach przebojów, sfabrykowany według metody zastosowanej na płycie The Dudis *Someone Like You* oraz dynamiczny, łatwo wpadający w ucho *Let's Celebrate*.

Do dotychczasowej twórczości Stranglersów ma się to nijak, ale nie da się ukryć, że Starsi Panowie Czterej popełnili niezwykle przewrotne i inteligentne rozrywkowe słuchadło, zasługujące co najmniej na **(8)**.

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI



THEY MIGHT BE GIANTS
FLOOD
Elektra

Ci potencjalni giganci to dwaj nowojorczycy – John Flansburgh i John Linnell. Ich trzeci album *Flood* zawiera aż 19 numerów. Są to, rzecz jasna, krótkie kawałki, nawet muzyczne żarty jak *Minimum Wage* czy autoreklama w postaci *Theme From Flood*. Różnorodność formy i treści stanowi niewątpliwie największy atut tego wydawnictwa. Dla każdego jest na tej płycie coś miłego. I, co bardzo ważne, wszystkie numery wykonane są lekko i podejrzanie wdzięcznie. Wręcz błyskotliwie.

Zabrzmi to może przewrotnie, ale rodacy Toma Waitsa bardziej przypominają nieodżałowanych Madnessów niż wykonawców amerykańskich. Kabaretowe klimaty, echo irlandzkiego folkloru spotyka się tu z twistem czy rytmami reggae. Do tego dochodzi jeszcze ta specyficzna intelektualna otoczka w postaci odjazdowych tekstów. Mam wrażenie, że They Might Be Giants zgrywają się i wyśmiewają rockowych mądrali i tylko kawałek *Your Racist Friend* traktuje, zgodnie z tytułem, o niechęci do pewnego rasisty. Nie tak surrealistyczni i mgliści jak moi ulubieńcy ze Steely Dan, dwóch Johnów też ma własny świat, który warto nieco spenetrować.

Jako że album ten ma typowo rozrywkowy charakter, nie brakuje na nim potencjalnych hitów. Zdecydowanie najbardziej chwytliwy jest stary numer *Istanbul* (nagroda dla tego, kto przypomni mi pierwszego wykonawcę tej fantastycznej piosenki). Wciągają też kawałki takie jak: *Someone Keeps Moving My Chair, Twisting, Hot Cha, Hearing Aid* czy *Birdhouse In Your Soul*. *Flood* to świetny oddech od stricte rockowej muzyki. Mam wrażenie, że niechcący „odkryłem" duet jakiego mi brakowało. (8)

ROMEK ROGOWIECKI



QUIREBOYS
A Bit Of What You Fancy
Parlophone

Quireboys tworzy pięciu Brytyjczyków, którzy wymyślili sobie (a może ktoś pogłówkował za nich, bo nie wyglądają mi na wielkich myślicieli) całkiem sprytny image. Potargali fantazyjnie długaśne pióra, powkładali na czupryny kolorowe pirackie chusty lub zdeformowane kapelusze (skąd my to znamy?...) – no i oczywiście wsunęli nogi w supermodne, kowbojskie buty. Aby wszystko było jasne wizerunku dopełnia czerwona róża wpięta w klapę marynarki wokalisty...

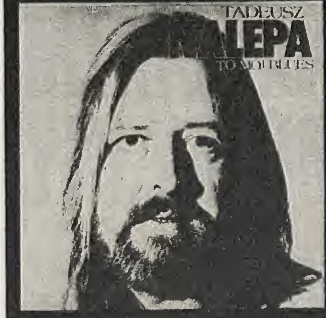
Muzycznie, ta kolejna kopia Guns N'Roses, nie bardzo odbiega od pierwowzoru – sęk w tym, że jest zdecydowanie lżej strawna i sprzedaje się tak, że przysłowie o ciepłych bułeczkach zaczyna tracić sens. I nic dziwnego – właściwie wszystkie zawarte na płycie utwory to potencjalne hity – od znanego z singla, niezwykle rajcownego *Man Of The Loose*, aż do balladowego *Whippin' Boy* kojarzącego się mocno ze słynnym *Dead Or Alive* grupy Bon Jovi. Moim faworytem jest w tym zestawie otwierający drugą stronę siarczysty numer *Hey You* – od momentu, gdy obejrzałem videoclip co noc śni mi się towarek wykonujący tam na scenie superseksowny taniec. Nie kochani – TEGO się nie da opisać, TO trzeba koniecznie zobaczyć (a jak już sobie popatrzycie, napiszcie proszę, jak to możliwe, że oni mogli w tym czasie w ogóle cokolwiek grać!).

Właściwie żadnemu z 12 utworów nie da się nic zarzucić – wszystkie są zagrane z wykopem i z polotem, wokalista stylowo pochrypuje i robi to bez specjalnego wysiłku, zręcznie przechodząc od drapieżnych, ekspresyjnych rock'n'rolli do fragmentów delikatnych i wymagających zgoła innych środków wyrazu niż krzyk. Wszystko to jest O.K., nie da się jednak ukryć, że koledzy nakradli ile się tylko dało pomysłów od swoich niegdysiejszych idoli i w rezultacie każdy niemal numer z daleka pachnie Stonesami, a w poniektórych z łatwością można wyczuć fascynację takimi formacjami jak Aerosmith (*Long Time Comin'*) czy AC/DC (chórki w *Sex Party*). Nie darowali nawet U2, przywłaszczając sobie bezwstydnie w *There She Goes Again* niemal każdy dźwięk sekcji dętej z *Love Comes To Town*. Ale niech się tym martwią okradzeni – dla mnie ważne jest, że mam płytę, której z przyjemnością słucham – i innym też polecam. **(7)**

ARKADIUSZ PRAGŁOWSKI

PUNKTACJA

1 – dno
2 – okropna
3 – zła
4 – słaba
5 – przeciętna
6 – niezła
7 – dobra
8 – bardzo dobra
9 – znakomita
10 – rewelacja



TADEUSZ NALEPA
To mój blues
Polskie Nagrania

Tytuł *To mój blues* właściwie wyjaśnia wszystko. Ale recenzent ma swe obowiązki, więc trzeba tu coś dodać.

Ten dwupłytowy album – wydany dziwacznie, bo rozdzielony na dwa „woluminy" – zawiera nagrania Tadeusza Nalepy z lat 1982–88. Mimo to robi całkiem spójne wrażenie. Bo i styl Nalepy nie zmienił się w tym czasie; a prawdę mówiąc – był kontynuacją jego poczynań z lat 70. Jako kompozytor i gitarzysta nasz weteran wielokrotnie jest bliski autoplagiatu – np. *Pozwól mi być z tobą tu* robi wrażenie przeniesionego z płyty *Karate*. Ale to już cecha jego twórczości. Przy tym nie mamy do czynienia z jakimiś remanentami, muzycznymi odpadami – jak można byłoby się obawiać, gdy weźmie się pod uwagę, że w ciągu tych sześciu lat ukazało się kilka płyt Nalepy. To raczej przygotowywane powoli „tour de force".

Jeśli jeszcze ktoś nie wie dokładnie, na czym polega styl Tadeusza Nalepy – będzie wiedział po wysłuchaniu tej potężnej dawki muzyki. A więc bluesowe (lub bluesowo zabarwione) kompozycje; ujęte rockowo i utrzymane w estetyce z przełomu lat 60. i 70. Jeśli już szukać konkretnych odniesień – nadal najłatwiej dostrzec wpływ Johna Mayalla i Erica Claptona, lecz jest to już od dawna oczywistą częścią „muzycznego języka" Nalepy. Do tego teksty, które zawierają proste prawdy o życiu i o miłości. Dzięki tym tekstom utwory nabierają zdecydowanie „tutejszego" kolorytu; bywa, że dość szczególnego – niekiedy mają coś z ballady ulicznej, więziennej *(Nie żałuj mnie)*.

Nalepa wykonuje głównie teksty Bogdana Loebla. Ma też kilka swoich, w zbliżonym stylu, co nie powinno dziwić, gdy weźmie się pod uwagę jak długo istnieje ich spółka autorska. Przyznam, że wolę tekstowe próby naszego muzyka, bo udaje mu się uniknąć „literackiego" patosu, który czasami pojawia się u Loebla (*jeśli jest we mnie ludzka dusza, tchnij ją w nową kukłę i baw się nią* itp.)

Właśnie Nalepa niczym nie zaskakuje słuchacza. Także gra i śpiewa (ściślej biorąc: podśpiewuje) po swojemu jak dawniej. Jedyna nowość – jeśli porównać *To mój blues* z dawnymi, dobrymi czasami grupy Breakout – to ochrypłe parlando.

Nie da się ukryć, że nasz weteran od dawna już pozostaje na uboczu krajowego rocka; że łatwo wybrzydzać na jego muzykę. Ale też Nalepa jest fenomenem naszego rockowego światka, w którym co kilka lat wszystko zaczyna się niemal od zera; to co proponuje, jest jakimś punktem odniesienia i chyba jedynym dowodem na ciągłość istnienia muzyki rockowej w naszym kraju. A publiczność potrafi to docenić.

Można też spojrzeć na całą sprawę z innej strony. Nalepa ma swoją estradową specjalność, a przy tym pozostaje sobą, jest prawdziwy. W jego przypadku tytuł *To mój blues* nie brzmi ani trochę pretensjonalnie. (7)

WIESŁAW KRÓLIKOWSKI

GRUBAS i RUDY

Przeglądam Top 75 z połowy kwietnia opublikowaną w „Music Week" i wśród albumów Phila Collinsa, Sinead O'Connor, Iron Maiden oraz Depeche Mode dostrzegam na pozycji 13 człowieka, który zupełnie nie pasuje do tego grona. A przecież jest już na tej liście od 10 tygodni.

Ma 55 lat i około 150 kilogramów (ciężar ciała podany jest w zaokrągleniu, bowiem artysta ciągle się odchudza). Urodził się we włoskiej Modenie, w rodzinie piekarza, który z zamiłowania był tenorem. Syn też miał śpiewać dla przyjemności, bo praktyczny ojciec chciał mu zapewnić bardziej przyzwoity zawód. Studiował zatem pedagogikę, pracował nawet jako nauczyciel, ale miłość do śpiewu oraz niewątpliwy talent okazały się w końcu silniejsze. Debiutował jednak dopiero w wieku 26 lat. Za to potem kariera potoczyła się już błyskawicznie: w 1961 r występ w prowincjonalnym miasteczku Reggio Emilia, dwa lata później debiut w Londynie, jeszcze dwa lata i Mediolan, jeszcze trzy i wyruszył na podbój Nowego Jorku. Od tego momentu zyskał sobie tytuł króla tenorów. Mimo upływu lat nie przekazał go jeszcze młodszemu rywalowi.

Luciano Pavarotti, bo o nim mowa, jest bezsprzecznie artystą wybitnym, mającym swych wielbicieli. Rzecz jednak w tym, że wypełniają oni widownie teatrów operowych oraz sal koncertowych, a więc audytoria znacznie skromniejsze od tych przeznaczonych dla innych gwiazd z list przebojów. Czasy, gdy kobiety mdlały na widok ukochanych tenorów, mężczyźni zaś posyłali brylanty uwielbianym sopranom należą do przeszłości. Dziś wykonawcy innej muzyki cieszą się względami tłumów. I tylko Luciano Pavarotti ze swym albumem *The Essential Pavarotti*, wydanym przez Deccę, z którą związany jest wieloletnim kontraktem, przedarł się na listy przebojów. Taka sztuka nie udała się żadnemu artyście operowemu od dziesięcioleci.

Co sprawiło, że ta „barokowa szafa przebrana za tenora", jak napisał o Pavarottim jeden z krytyków, cieszy się taką popularnością? On sam jest przecież uosobieniem operowego stylu, tak bardzo ośmieszanego przez tych, którzy opery nie lubią. Na scenie pojawia się zawsze w tunikach do ziemi, opończach i pelerynach, maskujących jego tuszę. Popisuje się swym wysokim „c" do granic nieprzyzwoitości, a jego najbardziej znanym numerem jest aria z *Córki pułku* Donizettiego, w której w ciągu pięciu minut wysoką nutę atakuje z powodzeniem dziewięciokrotnie. Na estradzie występuje zawsze, rzecz jasna, we fraku, trzymając w ręku białą chustkę wielkości sporego prześcieradła, by ocierać nią zroszone potem czoło. Wyśpiewuje wówczas słynne włoskie pieśni w rodzaju *O sole mio* czy *Wróć do Sorrento* ociekające słodyczą aż do mdłości.

Dla kogoś, kto nie lubi takiej muzyki, styl Pavarottiego może być kwintesencją kiczu i banału. Lecz masy gustują w kiczu, niezależnie od tego, czy przybiera on postać Madonny, Michaela Jacksona, czy Luciana Pavarottiego.

Jest wszakże jeszcze jedna przyczyna ogromnej popularności grubego Włocha. To jego niezaprzeczalny wdzięk, bezpretensjonalność i naturalność. Pavarotti cieszy się, że może śpiewać, a wszystkie techniczne zawiłości muzyczne pokonuje z dziecinną wręcz łatwością. Publiczność kocha takich artystów, którzy nie męczą się na scenie, nie odgrywają innych, lecz pozostają po prostu sobą.

Być może przypadek pojawienia się Pavarottiego na listach przebojów należałoby uznać za wyjątek, gdyby nie fakt, że na takiej samej Top 75 znajdujemy również *Cztery pory roku* Antonio Vivaldiego. Ten koncert solowy na skrzypce i orkiestrę, napisany przez człowieka, który przeszedł do historii muzyki pod przydomkiem rudego księdza z Wenecji, bo Vivaldi miał rude włosy, był księdzem i żył w Wenecji na przełomie XVII i XVIII wieku, jest oczywiście muzycznym hitem. *Cztery pory roku* znają nawet ci, którzy nie chadzają do filharmonii, nagrywano je na płyty setki, jeśli nie tysiące razy. Trudno właściwie wytłumaczyć, dlaczego właśnie wersja English Chamber Orchestra pod dyrekcją Nigela Kennedy'ego zawędrowała na top i to na szóstą pozycję, zdobywając przy tym tytuł platynowego krążka.

Te tajemnice brytyjskiej listy rozwikłać można przynajmniej na kilka sposobów. Wyjaśnienie najprostrze wiązać by należało z coraz większą ekspansywnością płyt kompaktowych. Na świecie zadomowiły się one na dobre, są jednak ciągle nowością, więc słuchacz nadal odkrywa nieznane możliwości percepcji związane z tym sposobem zapisu muzyki. Badając nowy świat dźwięków zawarty na płycie kompaktowej chce się nim nacieszyć także i w innym rodzaju muzyki, który na co dzień jest mu obcy. Ponieważ na muzyce poważnej się nie zna, wybiera pozycje, o których przynajmniej słyszał co nieco. Takie właśnie jak *Cztery pory roku* czy arie w wykonaniu Pavarottiego.

Jest to tłumaczenie, wydawałoby się, najbardziej racjonalne. Do tego zaś można jeszcze dodać uwagę optymisty i pesymisty. Ten pierwszy powiedziałby, że dobra muzyka zawsze znajdzie masowego słuchacza. Pesymista zaś stwierdziłby, że w muzyce dla mas tak mało aktualnie jest osobowości, że odbiorca znudzony kolejnymi kopiami wokalistek i wokalistów bez odrobiny indywidualności, sięga w rozpaczy po płytę sympatycznego grubasa, który nie udaje sexy–mana i muzykę rudego księdza z Wenecji, której naprawdę da się słuchać w każdej sytuacji.

JOTEM

BIG CYC ANARCHIZM KOMERCYJNY

– MY NIE JESTEŚMY KAPELĄ JAJARSKĄ. UWAŻAMY SIĘ ZA GRUPĘ SKRAJNIE POLITYCZNĄ.

Po koncercie w „Remoncie", na który aby wejść trzeba było się nieźle poprzepychać (to jeszcze nic, w Tarnowie 200 osób odeszło bez biletów), jedyny na świecie ziejący ogniem (tak!) rokendrolowiec, Krzysztof Skiba, magister sztuki, rozdał trzy autografy i chciał mnie spławić radząc, abym historię Big Cyca spisał z dziewiątego numeru „Przegięcia Pały".

W „Przegięciu" było napisane „płać i nie gadaj". Zapłaciłem i zacząłem w milczeniu przepisywać

HISTORIA

„Poród BIG CYCA, podobnie jak wystrzał z Aurory, był zaskoczeniem dla kapitalistów spod znaku „Solidarności" oraz dla przemysłu spirytusowego z całej Europy Wschodniej.

W związku z pierwszym koncertem grupy (marzec'88) zwiększyła się ilość samobójstw, samogwałtów i poronień, w szpitalach psychiatrycznych i na odwykówkach przybyło pacjentów, Czerwone Brygady zaś nasiliły swe akcje terrorystyczne.

Na wieść o kolejnych koncertach BIG CYCA, Irena Dziedzic wraz z Lechem Wałęsą próbują nielegalnie przekroczyć granicę z ZSRR, Krzysztof Krawczyk postanawia się zahibernować, a Kapitan Nemo z desperacją przykleja sobie do głowy swój legendarny żelbetonowy berecik.

Ogólnie rzecz biorąc, BIG CYC sieje popłoch i zgorszenie szczególnie w aresztach śledczych i pokojach przesłuchań Służby Bezpieczeństwa (...) Obecnie, jak wieść niesie, grupa BIG CYC na wniosek Towarzystwa Wściekłych Konduktorów zostanie przekazana jako dar Narodu Polskiego Nigeryjczykom, gdzie ma stać się atrakcją miejscowego ZOO".

„Przegięcie Pały" nr 9

Jakkolwiek by nie było – BIG CYC jest przykładem perfekcyjnej autokreacji. Powielana w organie Galerii Działań Maniakalnych (łódzka Pomarańczowa) legenda docierała w kilku tysiącach egzemplarzy do potencjalnych fanów, przygotowujących grunt Wielkiej Karierze.

Jeszcze raz: są kapelą polityczną i nietypową. No bo, czy widział tu ktoś grupę, na której czele stoi facet, który nie gra na niczym, nie śpiewa, bo ostatnio powiesił się na swoich strunach głosowych, czasem tylko coś krzyknie, a najlepiej spełnia się w zianiu ogniem, ewentualnie łykaniu tegoż żywiołu. Czasem zaś robi szpagat. I pisze teksty. Krzysztof Skiba.

Polityka władziła butami w jego życie, czemu nie chciał się sprzeciwiać. Wychował się w Gdańsku (żeby było śmieszniej inni muzycy są z Ostrowa Wlkp., a zespół uchodzi za grupę łódzką). Liceum, do którego chodził sąsiadowało ze Stocznią. Było na co popatrzeć. Krzysiek opowiada: *W stanie wojennym bywało, że przychodząc na ósmą rano na lekcje, byłem po drodze sześć razy zgarniany i rewidowany, bo o szesnastej miała być jakaś zadyma. A raz miałem pecha, bo w książce od rosyjskiego domalowałem Leninowi rogi.*

Potem to się wszystko jakoś rozwijało. W 1983 założył z Janem Waluszko („papież anarchizmu") oraz paroma innymi ludźmi Ruch Społeczeństwa Alternatywnego i zaczęli wydawać „Homka". Pismo po krótkim czasie zostało zablokowane w podziemnym kolportażu solidarnościowym, jego wydawców uznano za nieobliczalnych wariatów (zasłyszana legenda mówi o projektach strzelania do milicjantów z wieży ratusza, taki fundamentalizm). Niedługo później znalazł się w Łodzi, gdzie zaczął studiować kulturoznawstwo. Zanim wziął się do robienia na jej ulicach pierwszych hepów, zdążył dostać się w środowisko powstającego WiP-u.

W 1985 roku w Jarocinie rozrzucał ulotki wzywające do odmawiania służby



BIG CYC w krainie koszmaru Fot.: PAWEŁ ZIMNICKI

wojskowej. Wpadł bez dokumentów i przez dwa dni podawał, że nazywa się Jimmi Hendrix. Błąd, że w końcu zdradził swoje prawdziwe nazwisko. Tego dnia po raz pierwszy usłyszała o nim szersza publiczność. Przez głośniki podano wiadomość, że „Krzysiek Skiba czeka na swoich kolegów". No i doczekał się, koledzy też. Siedział trzy miesiące z sankcją prokuratorską w areszcie w Kaliszu. Wypuszczono go w ramach zapowiedzianej przez Dobraczyńskiego tzw. cichej amnestii.

Czy to po Jarocinie przyszedł pomysł, żeby samemu zrobić kapelę? Czy BIG CYC był odłamem łódzkiej Pomarańczowej Alternatywy (jej liderem też oczywiście był Krzysiek, który zasiał ziarno niepokoju w szarym mieście włókniarzy), czy odwrotnie? Chciałem, żeby ludzie odbierali to, co myślę za pomocą różnych mediów. BIG CYC to miała być taka żywa ulotka.

Pierwszy koncert, 8 marca 1988 r. ogłosili konkurs biustów, zamiast konkursu odbył się występ BIG CYCA, zaproszeni żurnaliści bardzo się obrazili), to już część preparowanej legendy. Legendy, w której imprezy z udziałem zespołu przeplatają się z pogonią łódzkiej milicji za „galopującą inflacją", z kolejnymi wydaniami „Przegięcia Pały", z wystawą prasy III obiegu, z...

Krzysztof Skiba jest magistrem sztuki. Jego praca dyplomowa ma tytuł „Happeningi Pomarańczowej Alternatywy. Próba dokumentacji działań". W jakim stopniu sam to wykreował? I jak dziwić się, że śpiewają o milicji?

Kombatant Krzysztof Skiba jest też ciągle wydawcą „Przegięcia", aktorem studenckiego teatru „Pstrąg", pracownikiem łódzkiej Galerii Manhattan.

Człowiek renesansowy

Pół roku temu został... felietonistą „13 kolumny" w „Gazecie Wyborczej". A dla równowagi sam dał tekst do „Na przełaj" czasopisma najbardziej chyba wyklętego przez ortodoksyjne podziemie kulturowe. Zdrada?

Ortodoksi mogą szczekać, ja mogę to olać. Mnie na to stać. Mój pierwszy zin, nazywał się „Gilotyna", wydawałem w 1981 roku. Robiąc „Przegięcie Pały", dostawałem 300 listów miesięcznie. Kupę czasu poświęcałem na druk na sicie. Nie mam siły. Poza tym – płacą mi za to, co robię. Czas na anarchizm komercyjny.

Żałuje, że nie wystąpił w zeszłym roku razem z kolegami w Jarocinie, bo był akurat we Francji: *Szkoda, pozdrowiłbym tego esbeka, który mnie poprzednio przymknął, pamiętam nazwisko, na pewno czuwał i teraz.*

MUZYKA

„Jeżeli tłuczonym szkłem będziesz próbował zdrapywać tynk ze ściany lub jeśli spróbujesz młotem pneumatycznym zrobić masaż swojej dziewczynie, to uzyskane w ten sposób dźwięki będą przypominały unikalne w swej prostocie brzmienie BIG CYC".

„Przegięcie Pały" nr 9

Wystartowali pod hasłem zarżnięcia swoją muzyką rock'n'rolla, na zapas odcinają się od możliwości skrytykowania ich gry. W rzeczywistości ich muzyka ma jedną zaletę: nie jest w stanie znudzić. Grają proste, melodyjne numery, dosyć zróżnicowane gatunkowo (od pastiszu Skaldów „Piosenka góralska", poprzez metalowego „Białego misia" do rapu i „Holliday In The Sun" Pistolsów), wykonywane z postpunkową ekspresją, w sposób nie pozostawiający jednak wątpliwości, że ta muzyka to tylko podkład do tekstów.

TEKSTY

W Ameryce nie używa się dziś słowa „anarchia", „anarchizm". Jest „ruch przeciwko autorytetom", antyautorytarianie. Więc teksty są takie. Mocne. Z powodu „Babci klozetowej" (kolejny element legendy) obrazili się w swoim czasie posłowie ziemi olsztyńskiej. Na szczęście z poprzedniej kadencji.

Kontestacja, kontestacja, to jest dobre na wakacjach

Tylko kto jest tu kontestatorem?

No kto? Może „Kapitan Żbik"?

Wszystkie teksty powinny być po polsku. Nawet w Berlinie Zachodnim (o tym mieście BIG CYC też ma piosenkę), *jak śpiewałem „Aktywistów", to po polsku, powiedziałem tylko, że to „against goverment all over the world" – była pozytywna reakcja – „we hate too" – krzyczeli.* W temacie tekstów po angielsku Skiba szykuje nową piosenkę. O tym, że jego ojciec jest marynarzem, a matka architektem.

*

Zimny marcowy wieczór. Fotoreporter z „Liberation" boi się zrobić BIG CYCOWI fotografię z zaparkowaną pod „Remontem" niebieską nyską. A to mogła być przecież dla niego ostatnia okazja.

Na liście Trójki „Piosenka góralska" właśnie dotarła do drugiego miejsca. *Chłopakom z kapeli to się podoba* – mówi Skiba. BIG CYC zakończył nagrywanie płyty. Jest szansa, że będzie już teraz, w czerwcu. No tak, ta płyta musi ukazać się jak najszybciej, zanim ludzie zapomną o milicji.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

PS. Grupa BIG CYC kocha Strawińskiego za *„Ognistego ptaka"* i Bacha za jego organy. 9 marca w klubie „Remont" lider podarł swoją ostatnią czarną koszulkę. Białe spodnie poległy wcześniej, na koncercie w Białymstoku.

BIG CYC to:

Ciacio (Jacek Jędrzejak) – gitara basowa, skrzynia biegów, wokal.

Romaniuk vel Luftwaffe (Piękny Roman Lechowicz) – gitara

Dżerry (Jarek Lis) – perkusja,

Skiba (Krzysztof Skiba) – teksty, ideolo, odkurzacz, żałosne dźwięki, wybuchy na scenie, zianie ogniem.

DAWNIEJ „JAZZ" rok zał. 1956

Nr 6 (376) ● CZERWIEC 1990

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Wojciech S. Kaczorowski (redaktor naczelny), Wiesław Królikowski, Ewa Marczyńska (sekretarz redakcji), Roman Rogowiecki (z-ca redaktora naczelnego), Jerzy Rzewuski, Jerzy Stokowski (fotoreporter).

Opracowanie graficzne: Zbigniew Karaszewski

Opracowanie techniczne: Katarzyna Malarska

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: Tomasz Beksiński, Monika Dzieran, (fotoreporter) Jacek Marczyński, Przemysław Mroczek, Arkadiusz Pragłowski Jakub Wojewódzki.

ADRES REDAKCJI: Magazyn Muzyczny, ul. Kredytowa 5/7 00-056 Warszawa, tel. 26-74-00.

WYDAWCA: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 02-017 Warszawa, Al. Jerozolimskie 125/127

DRUK: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. PL ISSN 0239-6904, Nr indeksu 36592. Zam. 283.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 298328, 288641, fax 28 61 36, telex 814461 do 64. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Rockowe MITY

LEKCJA DRUGA

JAK ZROBIĆ KARIERĘ?

Skoro po pierwszej lekcji wiemy już, kto jest kim w show biz, nie pozostaje nic innego, jak, kierując się tymi wytycznymi, zrobić karierę. I tu zaczyna się DRAMAT! Otóż, jeśli przestudiujemy życiorysy gwiazd i ich kariery okaże się, że nie ma czegoś takiego, jak recepta na sukces. Sława i chwała nie przychodzą łatwo i żaden uniwersytet nie gwarantuje ich zdobycia.

Zagadnięta na ten temat Gwiazda, jeśli jest z USA, odpowie – stary, to lata ciężkiej pracy, wyrzeczeń i uporu. Większy zarozumialec powie – trzeba mieć talent, stary, ja go mam. Ktoś szczery wyzna – należy wierzyć w siebie i ciągle nad sobą pracować. Każdy może wybrać dowolny wariant i posłużyć się nim w robieniu kariery. Osobiście przychylam się do ostatniej opcji, aczkolwiek ona też nie daje gwarancji sukcesu. Chcąc bowiem robić światową karierę, trzeba być, moim zdaniem, bezczelnym na zewnątrz i bardzo pokornym wewnątrz.

Każdego tygodnia na biurkach tak zwanych skautów, czyli ludzi odpowiedzialnych za szukanie talentów, ląduje od kilkunastu do kilkudziesięciu kaset demo z materiałem potencjalnych gwiazd. Na ile znam życie, skauci nie mają dosyć czasu, by tego wysłuchać. Tak więc zawodowe demo (u nas wiele płyt nie jest na takim poziomie) bynajmniej nie gwarantuje pierwszego kroku do kariery. Menażer z nazwiskiem i koneksjami, to najpewniejszy klucz otwierający drzwi z napisem SUKCES. Taki człowiek ma zwyczajnie „nosa" i nie będzie ryzykował swej reputacji dla marnego artysty. Menażer może też mieć pomysł na sprzedanie przeciętnego wykonawcy tylko na bazie genialnego image'u. Tak po raz drugi zrobił Frank Farian, który po Boney M. wykreował obecnie Milli Vanilli. Image i sprytny producent przyczynił się do zawrotnej kariery ponętnej czekoladki o pseudonimie Black Box. Nikt już teraz naprawdę nie wie (oprócz zainteresowanych), kto w muzyce pop rzeczywiście śpiewa, a kto posługuje się playbackiem. Słyszałem na własne uszy prawdziwy głos nieco ostatnio zapomnianej Sabriny – i uwierzcie mi – był to horror! Image był trampoliną w karierze Frankie Goes To Hollywood i wielu innych, sezonowych gwiazd. Podobnego cudu może dokonać rewelacyjny wideoclip.

Niestety, talent jest obecnie mało przydatny w robieniu kariery, ktoś, kto go posiada musi uzbroić się w cierpliwość i... czekać. Trzeba się jednak zawsze liczyć z totalną porażką, dlatego też przezorna, potencjalna gwiazda potrafi wykonywać inny zawód, z którego można żyć. Anegdota mówi, że gdy w Nashville chce się znaleźć zdolnego, młodego gitarzystę wystarczy w restauracji krzyknąć – Kelner! Warto o tym pamiętać myśląc o podboju świata show biz. Kariera Basi może być na tej drodze zachętą i... przestrogą. Jej wytwórnia Epic zrobiła wszystko w celu promocji nowego LP, a mimo to album ten zwyczajnie przepadł w Anglii i właśnie wyskoczył z Top 20 w USA. Show biz nie zna litości i z lubością wykańcza własne dzieci.

ROMEK ROGOWIECKI



MĄDRALE Z DE LA SOUL

O ironio! Brytyjska prasa zgodnym chórem dosłownie zachłysnęła się w ubiegłym roku błyskotliwą płytą *3 Feet High And Rising* murzyńskiego, raperskiego tria De La Soul. W chwili kiedy zespół zjawił się na pierwsze brytyjskie tournée, dziennikarze próbowali przeprowadzić z nim wywiady. Okazało się, że De La Soul mają w głębokiej pogardzie pismaków Zjednoczonego Królestwa. Zamiast odpowiadać na pytania klepią bzdury, wprawiając w zakłopotanie każdego skrybę. Przyciśnięci do muru, przyznają jednak, iż firma płytowa Tommy Boy nie dba odpowiednio o ich promocję i wysłanie De La Soul na wspólną trasę z Fine Young Cannibals było „idiotycznym pomysłem". Ameryka na razie jest obojętna wobec DLS, ale w Anglii wspomniany LP jest już w Top 20, a singel *The Magic Number* wylądował w Top 10.

Dlaczego? Bo Anglicy, w odróżnieniu od Polaków, uwielbiają wszelkie nowinki i premiują tych „innych" swą, czasami krótkotrwałą, łaską. A czym zaskoczyli młodzieńcy z De La Soul poddanych królowej Elżbiety? Krótko mówiąc, inteligentnym i bogatym muzycznie rapem. Trzech przybyszy z obcej planety – jak mówią o sobie DLS – to studenci z dobrych, średnio zamożnych, murzyńskich domów. W Amityville na Long Island, skąd pochodzą, nie ma typowych problemów, jakie gnębią czarną Amerykę. Ich rodzice mają w swych kolekcjach, oprócz murzyńskiej klasyki, płyty takich wykonawców, jak Steely Dan czy Hall and Oates i wszystko to znalazło odzwierciedlenie w „muzyce" DLS. Mace bardzo sprawnie wybiera smakowite kąski z różnych piosenek, tworząc w ten sposób znakomity podkład do pogadanek Trugoya (ten z kolczykiem w nosie) i Posdnuosa (ten szczupły w okularach). Dowcipnisie z DLS, jak na rasowych raperów przystało, posługują się pseudonimami, ale w przeciwieństwie do swych „braci" nie przechwalają się fantastycznymi wyczynami ani też nie walczą o „wyższe cele". Murzyni z De La Soul wydają się mieć nieco surrealistyczne poczucie humoru, *(Eye Know* czy *D.A.I.S.Y. Age)*. Kto posłucha numeru *Transmitting Live From Mars* ze zdziwieniem odkryje, iż jest to niby-lekcja... francuskiego, zaś cała płyta przypomina rodzaj quizu! Jeśli mądrale z De La Soul dotrzymają słowa i nie nagrają nigdy nic więcej, uznam ich za Rimbauda muzyki rap. Oby tak się stało, bo trudno mi wyobrazić sobie lepszy LP niż *3 Feet High And Rising*.

DE LA RO